WIENIEC

PISMO DODATKOWE

DO

GAZETY WARSZAWSKIEJ

Rożnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę, tych się barwą zdobię.

(Za pozwoleniem cenzury rządowej.)

POŚWIĘCONE LITERATURZE

TOM V

MIESIĄC SIERPIEŃ

WARSZAWA
1839.

(*Za pozwoleniem cenzury rządowéj.*)

ZDARZENIE W ŻAMKU
GLAMMIS.

(Staro-szkocka powieść.)

Przed stu laty, a może dawniéj, bo dokładnie trudno to oznaczyć, mieszkał w rybackiém miasteczku Mucklebrowst, na północy Szkocji, Nory Blare, człowiek który wiele w życiu swojém doświadczał, nim osiągł zupełną spokojność. Wmłodości swojéj, służył on z powodu ubóstwa, nie-

mając części swojéj, jako pomocnik przy rybołóstwie, potém uległ namowom werbownika zbierającego ochotników do służby morskiéj, i został majtkiem na pokładzie jednego okrętu linjowego J K Mci; służył przy armatach, póki się zdał do służby, a kiedy w skutku swego nieszczęśliwego przeznaczenia został inwalidem, dla zarobienia na życie został wędrującym kramarzem. Ale ponieważ to rzemiosło nie było dlań stosownem i niewystarczało na jego potrzeby, sprobował więc w swojéj kaledońskiéj ojczyznie, za pomocą wszystko ożywiającéj muzyki, czyli prosto mówiąc, wydmuchając na szkockiéj kobzie, zwanéj zwykle dudami, rodzinne melodje, zarabiać na chleb, i wkrótce doprowadził ten rodzaj sztuki tak wysoko że nie opuścił żądnego zgromadzenia żeby nie zebrał obfitego plonu zadowolenia, i nakoniec jako grajek pośród tańca wesołości i whisky znalazł w bogatém miasteczku biedne utrzymanie. To rzemiosło choć bardzo różne od poprzedniego, zgadzało się zupełnie z jego duchem, i dla tego mocno postanowił nie przedsiebrać żadnego innego. Poprzednie jego życie w ten sposób upłynęło: W służbie morskiéj w żaden sposób nie chciały dlań laury zakwitnąć i w bitwie jednéj

siedząc w koszu tak silny raz otrzymał wgłowę, że spadł prawie bez życia na pokład, miękko jednakże, bo na ciała kilku przyjaciół i nieprzyjaciół którzy na dobre już posnęli. Wyleczywszy się z rany jaką poniósł, uznany za niezdatnego do służby, otrzymał uwolnienie jako inwalid. Chodząc z kramem znalazł przy zdroju świętego Filana, w hrabstwie Perth, kobzę, któréj tylko skory brakowało, a uważając to znalezienie za skinienie nieba iż powinien poświęcić się muzyce, i przedawszy za bezcen wszystko co jeszcze miał w swoim przenośnym handlu, kupił skorę do swego nowego instrumentu i wciągu kilku tygodni bez wielkiéj pracy takiéj nabrał biegłości w dmuchaniu i przebieraniu palcami, jakiéj inni od urodzenia do późnych lat osiągnąć nie mogą. W takim stanie rzeczy nic dziwnego że wkrótce został ulubieńcem wszystkich kumostw, czyli inaczej mówiąc, wszystkich mieszkańców swiata w Mucklebrowst, w którém z szybkością błyskawicy od jednego do drugiego bieguna sława jego rozeszła się, w ocenieniu jego wybornéj metody jego nie zmordowanéj siły płuc, z jaką w nieprzerwanym ruchu utrzymywał swoją kobzę, i jego niezwyciężone-

go talentu, w dotrzymaniu wszystkim placu, (do póki whiski nie zabrakło). jego żelazny takt za pomocą którego wracał do równowagi nie kiedy niepewne kroki młodéj jakiéj dziewczyny, w jakimkolwiek tańcu krajowym czy zamorskim, uczynił go ulubieńcem całego pięknego świata w Mucklebrowst. Dla tego wkrótce nie było uczty, — a bywało ich nie mało co rok, gdzieby i Nory Blare nie był wszystko poruszającą sprężyną, a jego instrument podziwieniem wszystkich mężczyzn i kobiet, tancerzy i tancerek, tém bardziéj iż utrzymują że kobza jego poświęcona przez świętego Filana, posiadała własność w tańcu męczyć, a w spiewie przewyższać, wszystko co tylko było ludzkiego na ziemi, nie mordując grajka. W ten sposób, szacowany, podziwiany, uwielbiany, nic dziwnego że nasz Nory pozwolił zagospodarować się w sobie czartowi dumy, to jest zaczął chcićć być czemś więcéj niż się być wydawał. I tak naprzykład chciał żeby wierzono że on nie jest prostym Nory Blare, ale że należy do rozszerzonego po całéj Szkocji klanu Blairów, i że roztargniony zakrystjan przy chrzcie jednego z jego prapradziadów, pod wpływem ob-

cego ducha z zapomnieniem wszelkich dyplomatycznych dokładności, nie ortograficznie wpisał imie w księgach kościelnych, (przez 'co chciał dać do zrozumienia, że ten dygnitarz przy ceremońji chrztu miał mózg trunkiem zalany). Ale to wyrachowanie nie udało mu się, bo ani Blairowie w Ilk ani w Balthagok, ani w Lethendze, ani nawet, w Overdurdy słowem ani jeden z Blairów gdziekolwiek tylko tacy mogli się znajdować, nie chcieli go przyznać za imiennika ani pokrewnego, bo wszyscy mieli swoje drzewa genealogiczne doskonale przez tradycją wyryte w pamięci, i nie potrzeba było pargaminów żeby odtrącić tego z deszczem spadłego krewniaka. W najwyższym stopniu rozżalony i rozgniewany takim złym skutkiem swoich usiłowań wdarcia się do znakomitego klanu, oświadczył iż nie chce słyszéć o wszystkich Blairach w całym świecie, ale to zupełnie nic; lecz wystąpić jako głowa nowéj rodziny Blarów, z Bletheret i Skrelawa, to jest z dwóch miejsc które całą Szkocję i to jeszcze od czasów Adama, opatrywały w kobziarzy, i opatrywać będą wiecznie, to jest do skończenia świata. Słuchano tych oświadczeń życzliwie i powierz-

chownie wierzono im, bo przez wzgląd na jego znakomity talent i nieporównane miejsko-kobziarskie cnoty, pozwalano mu marzyć, jak gdyby wierząc mu na słowo, — za oczami jego jednak mówiono, że miał o jednę klepkę w głowie za mało, czego powodem być miała przeklęta niezapominajka którą dostał w głowę od francuzkiego korsarza, siedząc w koszu masztowym, kiedy jeszcze był w służbie czynnéj. Ale prócz zręcznego arcy szatana który go opanował, przy zdarzonéj sposobności (która dość częstą bywała, inne jeszcze podrzędne szatany, (szczególniéj że wtedy nie było jeszcze towarzystw wstrzemięźliwości), dokazywały pod jego czapką. Skoro tylko te złe duchy górę brały, to jest kiedy whisky, Gyn, albo inne jeszcze złe licho nazwane Usguebaugh (wódka korzenna), które podczas przerw w tańcu z kumoszkami wychylał, zaczęły w głowie jego swoje operacje, wtedy trudno było poradzić sobie z naszym dobrym Nory. Najbardziéj znużeni musieli tańczyć albo śpiewać, choćby im przyszło pożyczyć od kogo siły, jego kobza działała wtedy jak nieśmiertelny róg Oberona, i kiedy już całe towarzystwo weselne albo chrzest-

ne, śmiertelnie znużone i bez zmysłów, w tym i owym kącie leżało, wtedy Nory Blare był jedynym jeszcze nie zwyciężonym bohaterem, który głośniéj jeszcze niż w czasie biesiady nadymał swoję kobzę. — Tak tedy nasz przyjaciel dudarz był znanym chwatem który szukał równego sobie, i nie znalazł; ale próez tego był on doradcą przy wszystkich zalotach, zaręczynach, ślubach, wróżbach, przy szukaniu skarbu i rozmaitych umowach i układach wiernym przyjacielem, i prawdziwą duszą wszystkich plotek i nowinek. Chociaż te przymioty otwierały mu już każdy dom, i we wszystkich był on pożądanym gościem, najprzyjemniéj jednak było mu w małéj jednéj karczmie, ktorą utrzymywał niejaki Bauldie Quitsch. Tu sprawdzało się przysłowie że trafi swój na swego, bo Bauldie był zupełnie podobny z charakteru i postępowania do swojego gościa wieczornego.

Często widywano ich obu, późno w noc, siedzących razem i rozmawiających wesoło. Szklanka po szklance, piosnka po piosnce, języki tak okropnie w ruch wprawione, iż trzeci ktokolwiek mógłby nie bez powodu obawiać się żeby się

sufit nie zawalił od tych językcznych grzmotów i piorunów. To szczęśliwe życie trwało tak długo dopóki kłótliwa żona karczmarza Bauldie nie umarła, i tak długo uciśnionego męża zostawiwiła w słodko kwaśném wdowieństwie. Wtedy każda z kumoszek pewną była że Bauldie zacznie umizgać się, czyli inaczéj, szukać następczyni na osieroconą posadę karczmarki,—ale omyliły się, Bauldie co dzień stawał się posępniéjszym, pił dwa razy tyle jak zwykle, nakoniec został zupełnie jakby niemym, chociaż wierny Nory nie oszczędzał słów aby rozerwać posępne myśli przyjaciela. Tak właśnie było pewnéj burzliwéj nocy; wybiła północ, wszedł niski mężczyzna w szaraczkowym surducie, najprzód opatrzył swego konia i dał mu obroku, a dopiero zasiadł przy stole. Gospodarz głęboko pogrążony w smutnych zamysłach, zapominał nawet zwykłéj formaty przywitania i Nory musiał cóś powiedzićć dla naprawienia téj niezręczności. — Człeku, co to z tego będzie, zaczął grajek, już nawet święty Fillan nie ma nad tobą żadnéj władzy! Dawniéj byłeś najweselszym na kilka mil wokoło, a teraz od czasu śmierci Katty, smutek wziął cię w swoje pazury jak swego. Co tobie jest? Obcy

dopomógł jego usiłowaniu. — Smiało, gospodarzu, rzekł, na co się smucić, straciliście żonę jak słyszę, weźcie drugą. Jeszcze w morzu nie brak ryb.

— Dobrze powiedziano, potwierdził Nory, chociaż to przysłowie jak mówią od djabła pochodzi. O co idzie, przyjacielu Bauldie, zaśpiewam ci pieśń na zaręczyny i wesele. Ładnych dziewcząt jest tu mnóstwo, wszystko mądro-okie z złotym włosem, wysmukłe, ogorzałe! Ha! panie młody, trudny mieć będziesz wybór, ale najprzód baczyć musisz braciszku, żeby miała małe nóżki, żeby sobie w tańcu nie deptała na palce!

Wzdychając odpowiedział karczmarz.

— Ah! dla mnie mogą wszystkie być dwa razy jeszcze piękniéjszemi, żadna moją nie będzie.

— Eh! eh! czemużby nie! przerwał obcy, na myślcie się, oto wymienię wam jednę. Cóż myślicie o Sibbie Carloups z Goukshaven? Oprócz złotych włosów, ma ona jeszcze dużo złotych pieniędzy w szkatule. To byłoby nie źle dla was.

— Co? ta? śmiejąc się zawołał Nory, przecie o ile ja wiem, przed dwudziestu laty znikła

nie wiadomo gdzie i jakim sposobem. Jedni tak mówią, drudzy znowu inaczéj. Mówią że została obłąkaną, że ją djabeł porwał, do Forfax czy do Castle Glammis, *) i że tam trzyma ją, jak swoją kochankę; kto wie, czy ona została czarownicą czy czém inném. To tylko nie wątpliwie że nagle znikła i nikt nie wie dokąd. Ach! to jest zupełnie prawdą, zawołał Bauldie. To mi serce kraje, że wiem o tém, tylko nie myślałem żeby o tém ludzie mówili, cobym ja tylko na spowiedzi odważył się wyznać. Ale Nory, kochany kumie, jesteś zacnym człowiekiem, który nie ucieknie nawet przed djabłem, kiedy idzie o jaki dobry uczynek; ty możesz mi dopomódz.

— No sądsiedzie, powiedz no, co wam cięży, zaczął Nory pocieszając go, i jeśli człowiek może uczynić to czego żądacie, przyrzekam wam usłużyć choćby mi djabeł chciał moją kobzę zabrać.

---

*) Oba te miejsca znajdują się blisko siebie w hrabstwie Angus, pierwsze było zwykłém miejscem wygnania dla czarownic w dawnych czasach, w drugiém odbywały one sabat.

— Nie wątpię o tém rzekł karczmarz, ale boję się żeby to nie więcéj kosztowało cię niż chesz ryzykować! w krótkości opowiem ci co mi serce ściska.

Przed dwudziestu laty, Sibbie Carloups, była jak to sam wiesz najpiękniejszą z najpiękniejszych, ale zarazem była dzikiém stworzeniem. Ja także byłem przystojnym, dzielnym chłopcem, i ile razy zeszliśmy się z sobą, a to zdarzyło się więcej niż raz, odkrywałem przed nią moje serce i mówiłem wszystko com myślał,—ona nie była od tego,—i pewnego dnia na zakład miłości złamaliśmy pieniądz srebrny i każde wzięło jedną połowę. Ale odtąd nie widziałem jéj już więcéj, bo gdym pierwszy raz potém przyszedł do Goukshaven, ona już była znikła bez sladu.

— I nie poszedłeś ją szukać? zawołał Nory. Oh, trzeba było po polach i lasach, po gęstwinach i bagniskach pędzić za nią, mnie nie byłaby uszła.

— I owszem, mówił daléj Bauldie, chodziłem szukać jej ale napróżno. Stare kobiety wmówiły we mnie że ją Kobold porwał, ja też zaprzestałem szukać. Lata przechodziły. nie my-

ślałem już o niéj Ożeniłem się z moją Katty Linekl, która teraz oto umarła, a ja zostałem i nie wiem co daléj ze mną będzie. Ale powiem ci po krótce; w tydzień zaledwie po jej śmierci, wpośród ciemnej jak kruk nocy, przyszła pod drzwi moje, kiedy sam byłem, szara i bez wątpienia przeklęta postać kobieca, i zawołała mię głośno po imieniu, a potém dodała: poczciwy człeku, jestem Sibbie Carloups, przypominam ci zaręczyny Ach! wtedy strach mię ogarnął; kiedy odzyskałam przytomność i mowę, zapytałem drżący z trwogi; Powiedz że mi Sibbie, gdzie byłaś przez tyle czasu? tego nie mogę ci tak zaraz powiedzieć kochany chłopcze, odpowiedziała; zwiedziłam świat z jednym moim pryyjacielem, który mi dał poznać rozkosz i szczęście; ale nie zapomniałam moich tutéjszych znajomych. Patrz, oto jest połowa pieniędza srebrnego, pamiętasz, twoja Katty umarła, możemy teraz połączyć się, jeśli chcesz.

— Z tobą się połączyć! pomyślałem sobie, wolałbym ożenić się z próżną beczką od smoły; ale nie mówiłem tego głośno. Drżałem jak liść obawiając się żeby nie weszła do mnie. Okropnie mi było, ale mówiłem uprzejmie:

Wejdź do mnie Sibbie! — Chciałabym to uczynić, odpowiedziała, ale przed drzwiami rośnie ziele którego nie mogę ominąć! Aha! pomyślałem sobie, rozumiem; niechże sobie to ziele sto lat jeszcze rośnie. Po cichu zbliżyłem się do drzwi i miałem już więcej odwagi do mówienia z nią. Powiem ci otwarcie, rzekłem, Sibbie, ludzie źle o tobie mówią; utrzymują że się oddałaś szatanowi, żeś została czarownicą, a ja zaczynam wierzyć temu. Spodziewam się że dla lada drobnostki nie zechcesz mi źle czynić; oddaj oto tę połowę srebrnego pieniądza, i idź z Bogiem, albo z kim ci się podoba. Aha! odpowiedziała zuniesieniem gniewu, czekaj Bauldie! zaraz skończemy z sobą, skoro jesteś mi niewiernym, (przeklęta czarownica,) to już nie moja ale twoja wina. Dopóki jeszcze mam zakład twej wiary, mogę żądać twojéj ręki i więcéj jeszcze mogę; pomyśl nad tém, i bądź rozsądniéjszym, bo inaczéj wyzsam ci krew, ty wiarołomny, i zobaczysz co z tobą będzie. Poskoczyłem ku drzwiom aby się na nią rzucić, ale ona znikła jakby ją wiatr zdmuchnął. W ciemnéj nocy nie mogłem nic dostrzedz, ale cóż się dzieje? o to co noc przychodzi tutaj; puka do

okiennicy i woła: Jestem twoją oblubienicą, mam pół srebrnego pieniądza, który przełamałeś na znak wiary dozgonnéj i nie oddam ci go. Nie boję się jéj, bo sama powiedziała, że przed progiem moim jest ziele, którego nie może ominąć, wychodzę, aby ją zmusić do oddania pół srebrnika, ale nie widzę nic prócz dwóch czerwonych oczu, świecących w ciemności. Jednym rzutem zły duch porywa ją z rykiem i ulatuje nad dachem. Otóż i cała okropna historja; całe moje mienie oddałbym za to, żebym mógł otrzymać pół srebrnika, a potém niech sobie Sibbie co chce robi w Forfax albo w Glammis.

— Brawo! rzekł Nory, braciszku, z ochotą usłużę ci, tylko mi powiedz, gdzie znajdę tę czarownicę, nie lękam się ani jéj, ani całego szeregu jéj podobnych. Zagram ja jéj na kobzie świętego Filana takiego tańca, jakiego nigdy jeszcze nie tańczyła.

— W tém też właśnie cała trudność, zawołał Bauldie; któż może pochwalić się, że spotkał kiedykolwiek czarownicę przeciw jéj woli. Nie, nie, już dla mnie nie ma pociechy na ziemi!

— Uspokójcie się, rzekł obcy, pomoc nadejdzie często skąd się jéj najmniéj spodziewamy,

jeśli przyjaciel wasz nie zna trwogi, to wszystko będzie dobrze, ale jeśli się zalęknie zacząwszy, to już za nic nie ręczę.

— Oto jest, zawołał Nory w zapale gorliwości usłużenia swemu przyjacielowi, oto jest moja ręka, która dla mnie na chleb zarabia i wszystkich rozwesela, bądź pan spokojnym.

— Dobrze więc, odpowiedział obcy, im prędzéj tém lepiéj. Droga dość daleka, siądziecie na mego konia i pozwolicie mu iść gdzie zechce; on zna dobrze drogę, musicie jechać do Castle Glammis. Tam znajdziecie całą wesołą rzeszę, a wpośród niéj Sibbie Carloups. Zapytajcie się o ciotkę Paddok, powiedzcie jéj że was przysłał Melchjor intendent zamku, z rozkazem żeby wam wydała zakład karczmarza Bauldie. Ale strzeż się wszelkich innych stosunków z gromadą, a nade wszystko nic innego nie bierz, choćby cię nawet usilnie proszono.

Przyjaciel nasz Nory Blare puścił się w drogę wpośród burzliwéj nocy, mając swoję kobzę pod pachą, koń biegł szybkim galopem, tak iż iskry sypały się z pod nóg jego, przez samotne i dzikie drogi, które zdawały się

jezdcowi zupełnie nieznanemi, chociaż drogę do Castle Glammis tak dobrze znał jak w nijście do swojéj chatki. Nie widział żadnego budynku, żadnego człowieka, a nawet psy nie szczekały jak to zwykle w nocy czynią. Przejęty strachem i trwogą, trzymał się silnie grzywy, bo podróż zdawała mu się zbyt prędką, po nie zmierzonéj okiem równinie zarosłéj czarnemi zielskami. Jakże miło mu było kiedy zobaczył w odległości mały punkcik światła, który stawał się coraz większym. Nadjechawszy bliżéj zobaczył i ciemny zarys wielkiego budynku, wprawdzie rozwalonego, ale zdolnego dać mu ochronę od deszczu i burzy. Koń jego zatrzymał się przed kamienną bramą, nad którą mnóstwo okien jaśniało mocném światłem, a we wnątrz słychać było śpiewy i krzyki, taniec i muzykę. Zawołał głośno: Hollah! ale próżno wołał i kołatał, nie otworzono mu; dla tego za najlepsze osądził zsiąść przynajmniéj z konia, bo i ten nie chciał już daléj postąpić. Wszedł po wązkich krętych schodach, które go zaprowadziły do szeregu pięknie przyozdobionych pokoi, w stylu który był modnym przed stu laty. Przy wejściu zaraz do pierwszego mocno oświeconego

pokoju ujrzał na środku stół, około którego jak się zdawało znakomite towarzystwo siedziało, błyszczące złotem i drogiemi kamieniami; mężczyzni byli w płaszczach aksamitnych, a kołnierze obszywane mieli kosztownemi bruxelskiemi koronkami. Rycerze w stalowych zbrojach, hełmach i z dwuręcznemi orężami przy boku, wszyscy byli bardzo wspaniale ubrani ale oczy ich były jakby szklanne, i wszyscy, wszyscy grali w karty. Przeklinali, złorzeczyli, tupali nogami za każdą wyrzuconą kartą, krzyczeli jak szaleni jeden na drugiego i sprawiali nadzwyczajny hałas. Stosownie jak karty rozsądziły, odsuwali, podawali, zgarniali wielkie dawne pieniędze, z radosnemi albo gniewnemi poruszeniami. Czy przegrywając czy zyskując wołali coraz wino, które im bogato galonowani słudzy podawali. Ale najokropniéj ze wszystkich rzucał się i krzyczał podeszły pan *) z kamiennćm obliczem, nadzwyczajnie długą brodą, który siedział przy wyższym końcu stołu. Przegrywał ciągle bardzo wiele, roz-

*) Legenda nazywa go Alexandrem Beardie, trzecim hrabią Crafford i mówi że na ostatecznym sądzie on jeszcze będzie grał w karty.

dzierał w gniewie karty, wołał o wino, uderzał potężnie ściśnioną pięścią w stół, i przysięgał że do dnia sądnego grać nie przestanie.

Naszemu Nory, który nie jednę już bitwę przeżył i wiele okropności widział, scena tu jednak zdawała się za nadto okropną. Trwoźnie obejrzał się na drzwi, ale drzwi znikły, w około widział tylko ścianę i odwrót okazał mu się niepodobnym. Ale nawet nie miał czasu pomyśleć o tém, bo piorunującym głosem zapytał go najstarszy gracz: Czego chcesz tutaj? kto cię tu przysyła? — Z ściętą krwią w żyłach odpowiedział Nory jąkając się, że zbłądził z prostéj drogi do Glammis gdzie go posłał intendent zamku Melchjor, do ciotki Paddok, po odebranie zakładu zaręczyn.

— Niech będzie przeklętym na wieki niegodziwy Melchjor! zawołał zapamiętały gracz wszystko nam zgubi jeśli tak dalej będzie postępował. Któż ty jesteś, którego on do takich głupich poselstw używa?

— Za wysokiém waszém pozwoleniem, jestem Nory Blare, dudarz miejski z Mucklebrowst, i mam z sobą kobzę poświęconą przez świętego

Fillana, na któréj mogę zagrać panom, tak jak mój święty patron grywał wypędzając czarty, jeśli się panom podoba. Wtej śmiałej mowie musiało być coś nieprzyjemnego, bo stary gracz zgrzytnął zębami, i okropnie spojrzał na śmiałego dudarza. Potém okropnym głosem zawołał: Arihman, Asand, Aconit, poprowadź który tego zuchwałego świętoszka na dziedzieniec balowy i pokaż mu czepek staréj Paddok, jeśli jeszcze jest między tańczącemi. Nory udał się za wygalonowanym sługą przez liczne galerje i ciemne przechody, aż nakoniec wyszli na otwarte powietrze, na plac który zdawał mu się być cmentarzem z zapadłą kaplicą, otoczonym czarną rzeką. Zielono zarosły plac równie jak budynek z którego Nory wyszedł były jasno oświetlone, i mnóstwo snuło się po nim mężczyzn i kobiet. Kobiety młode i stare, piękne i szkaradne, czarownice z kociemi, końskiemi i sroczemi nogami, tańczyły przy przeraźliwym odgłosie kobzy; muzyka była, jak Nory artystycznie ją osądził, bez taktu i rytmu, ciągle z jednego tonu, bez żadnéj odmiany i niekiedy zdawała się okropném wyciem, któremu dopomagały okrzyki radości i rozpus-

ty, które w uszach poczciwego Nory wydawały się raczéj jak krzyki boleści i cierpienia, i nie miały żadnego podobieństwa z serdeczną wesołością jaką on obudzał dmuchając w kobzę świętego Fiłlana. Przewodnik poczciwego grajka przecisnął się wpośród bawiącego się tłumu aż do przewróconéj kolumny, i wskazał na powieszony na niéj ciemno brunatny czepiec poradził on naszemu przyjacielowi aby wziął ten czepiec, a gdyby go kto o oddanie go prosił, wtedy miał powiedzieć swoje żądanie. Bez tego czepka, matka Paddok nie mogła istnieć ani żywo odejść ztamtąd. Nory walecznie porwał czepek, ale zaledwie wziął go pod pachę, obok swéj kobzy, kiedy podeszła kobieta podobna do sierpa ale jeszcze prawie bardziej zgięta, przystąpiła do niego i z nader ujmującą słodyczą prosiła o oddanie wziętego czepka, przyrzekając że jeśli jéj prośbie zadość uczyni, ona obdarzy go złotem, srebrem i nade wszystko darem grania na kobzie stokroć lepiéj niż kto bądź zdołał kiedykolwiek zagrać. Ale to wszystko nie mogło wstrząsnąć postanowienia dudarza Nory. Z żelazną stałością zażądał od niej zwrotu zakładu miłości, który otrzymała

od karczmarza Bauldie. Zamiast odpowiedzi z wściekłością rzuciła mu pół srebrnika i skrzeczącym głosem zawołała: oto go masz, ty niegodziwy hultaju, teraz oddaj mi mój czepek.

— Jeszcze nie, mój skarbie, odpowiedział zupełnie spokojnie nasz bochater, zobaczemy pierwéj czy nie ma w tém oszukaństwa, wiesz dobrze że nie wszystko jest złoto co się świeci. Podniosł z ziemi pół srebrnika, porównał go z drugą połową i dopiero po zupełném przekonaniu się że to było to po co przyszedł, włożył otrzymany zakład w kieszeń i pobiegł do bliskiego strumienia, a czarownica za nim. Tu rzucił czepek w wodę i zawołał. — Tak, moja pani, żebyś na przyszłość nie mogła wypłatać jakiego figla dobremu Bauldie, odbieram ci twoję władzę.

To sprawiło okropne zamieszanie. Czarownica krzycząc jak szalona patrzyła na tonący czepek, niknący wpośród krwawych płomieni, i jej władzę zniszczoną. Wesoły taniec gromady został przerwany, bo wszyscy tancerze zbiegli się w mgnieniu oka, okrzykami radości

napełniali powietrze, i wpośród wiru burzy porwali Sibbie Carloups. Już jéj odtąd nigdy nie widziano na ziemi.

Ale naszemu przyjacielowi nie wyszło na dobre to że więcéj uczynił niż mu kazano. Szatańska muzyka która stała szeregiem, zaczęła przegrywać coraz nowe melodje, z których jedna dobrze była znaną naszemu przyjacielowi. Nory czując się jakby w własnym domu, zapominał o stosunkach swoich z wesołą szatańską gromadą i ośmielony swojém zwycięstwem, powziął waleczną myśl zagrania jakiej melodji, która, jak dumnie sądził, skłoni nawet samych djabłów do tańca. Zaledwie ta szalona myśl przyszła mu do głowy, wlazł na wiadomą nam kolumnę i zawołał z całego gardła:

— Zaczekajcie panowie i panie, zaczekajcie; ten poczciwy człowiek którego tu widzę, gra wprawdzie doskonale na szkockiéj kobzie, ale ja wam tak zagram, że sam najstarszy lucyper lepiej niepotrafi; słuchajcie! — ale za pierwszém dmuchnieniem skorzane dudy pękły z głuchém *puff*! a trzy rury roszczepały się od końca do końca. Przerażony tem nieszczęściem które go niespodzianie biedakiem uczyniło

zawołał Nory w rozpaczy: Bierz djable co swoje, straciłem chleb! cóż teraz pocznę! niech mi Bóg dopomoże.

Ale zaledwie te ostatnie wyrazy wymówił, ten hałas który dotychczas rozlegał się wokoło, stał się jakby lekkiém tchnieniem zefiru, w porównaniu tego co teraz jego śmiertelne ucho usłyszało. Wpośród wyjącego wiru rozsypała się wesoła powietrzna gromada, przy okropnym skrzeku, pisku, syku, szumu i ryku; i co jego ziemskie oko widziało, tego nigdy usta jego nie zdołałyby opowiedzieć. Te okropności odjęły mu przytomność, wschodzące słońce wróciło go do zmysłów, znalazł się pod rozwalinami Castle Glammis. Potłuczony i ledwie zdolny władać swemi członkami, leżał silny niegdyś żeglarz pod stosem gruzów, bardziéj zesłabiony jak po owém salto mortale z kosza masztowego; a obok niego jego jedyny i cały majątek, zniszczona kobza, ale w kieszeni znalazł z wielką radością obie połowy srebrnika.

Bauldie Quetsch stał się od tego czasu zupełnie innym człowiekiem, zupełnie spokojny i szczęśliwy przygotowywał się do wesela bo los

Sibbie już był znany w całym okręgu. Nory utrzymuje że tylko przez jednę noc był niebecnym, ale wszyscy mieszkańcy Mucklerbrowst zapewniają że jego urząd jako grajka miejskiego przez cały tydzień był osierocony. Bauldie był bez miłosierdzia ścigany przez szczęście i wprędce zebrał bardzo wiele pieniędzy. Nory za waleczne popisanie się w oswobodzeniu poczciwego karczmarza od władzy przeklętéj czarownicy, otrzymał wnadgrodę kosztem miasta sprawioną piękną kobzę, którą dziewczęta co Niedzielę stroiły świeżemi wstążkami.

DUCH OKRĘTOWY.

Kapitan August Fitzroj Fitzalban dowódca pięknéj fregaty J. K. M. Nenia, wiele bardzo lubił rzeczy; i tak: okręt swój lubił prawdziwie, więcéj jednakże swoją arystokratyczną osobę a, jeszcze więcéj świeże mleko na śniada-

nie. Posiadał on wielkie dobra, ogromne pastwiska i liczne bydło; wszystkie te jednak wyliczone szczegóły obecnie na nic mu się nie zdały, i chociaż był panem nie ograniczonym tego wszystkiego co mu pod oczy wpadało, musiał się jednak dnia 6 Czerwca 1826 r. obejść bez mleka. Niedościgniona okiem przestrzeń co go otaczała była wprawdzie zielona, ale niestety nie pasły się na niéj żadne mlekiem dojne zwierzęta. Neptun o ile wiadomo nie potrzebował mleka do swojej czekolady i kawy. Lubo morze ma krowy morskie nie słyszeliśmy przecież aby one mleko dawały.

W tym pamiętnym poranku zgromadzili się w kajucie czcigodny kapitan, pierwszy porucznik, doktór, oficer załogi, oficer i marynarz straży porannéj, z dobrym apetytem na śniadanie. Jednakże apetyt ten objawiał się najlepiej u panów ze straży porannéj.

„Do pioruna! “ zawołał kapitan, jak widzę znowu dziś nie ma mleka! Daj mi przeklęty intendencie wyraźną i pewną odpowiedź, dla czego krowa którą tak drogo zapłaciłem, nie daje mleka?

— Panie, odpowiedział drżący intendent żywności, czy pan chcesz pewną odpowiedź, ja sądzę — to zapewne ztąd pochodzi — że ją nie wiem.

— Ty synu morskiego śledzia! umiesz ty krowę doić.

— Umiem panie.

— Na miłość boską dla czego więc tego nie czynisz?

— Ja czynię to, ale nic wydoić nie mogę.

— Więc chodźcie moi panowie, rzekł daléj kapitan z postanowieniem, zobaczemy co téj przeklętéj krowie brakuje, nie mogę bez mleka jeść śniadania, a śniadanie jest u mnie najpierwszém jadłem.

Postąpił naprzód a za nim goście, z ktorych nie jeden chciwém okiem opuszczał tak hojnie zastawiony stół śniadanny. Udali się na miejsce gdzie krowa miała swoją między dwiema armatami na głównym pokładzie oborę. Zdawała się być zupełnie zdrową, gdyż żarła swój obrok z dobrym apetytem, a miarkując po jéj okazałéj powierzchowności, powinien się kapitan spodziewać hojnéj ilości mleka. Towarzystwo tych 7 oficerów którzy otaczali krowę,

podobne było do 7 mędrców w wannie puszczonych na morze.

— Sprobuj jeszcze raz, rzekł kapitan do swego podwładnego, ale próżne usiłowania, nie ma mleka.

— Ten głupiec doić nie umie! zawołał kapitan, a obracając się do swoich officerów rzekł, a z panów nie umie kto wydoić krowę?

Lecz gdy jedni odpowiedzieli że téj sztuki już dawno zapomnieli, a drudzy że jéj nigdy nie posiadali, zmartwiony kapitan dał rozkaz przyprowadzić wszystkich tych którzy tylko doić umieją.

Siedemnastu chłopaków z Wallji, pięćdziesiąt pięć Irlanczyków i czterech z Somersetshire probowali kolejno aby mleka odciągnąć, ale to napróżno, mleka nie było.

— Cóż ty na to doktorze? zapytał go kapitan wziąwszy na stronę.

— Że krowa przed kilku godzinami została wydojoną.

— Ha, gdybym to z pewnością wiedział! i krowa tylko od takiego mogła być wydojoną co doić umie.

— Ta uwaga zdaje się zupełnie naturalną.

Kapitan spojrzał jeszcze raz gniewném okiem na gromadę tych co doić umieją i rzekł z goryczą:

— Na ukaranie jest ich za wiele. Wróćmy do naszego śniadania, chociaż ani ieść ani pić nie będę. Oświadczam wszystkim że dam 5 Gwineów nagrody temu kto wyśledzi tego co kapitańską krowę wydoił.

Wrócili więc panowie do kajuty i wpadli, wyjąwszy kapitana, z apetytem zwłaszcza podniecony jeszcze tak długiém czekaniem, na smaczne na stole rozstawione potrawy. Między ludnością fregaty był pewny Littlejohn, pospolicie Jakóbem Small przezwany. Skoro tenże zjadł trzy ciepłe bałki, pół kury, funt szynki i jeszcze skrzydło jędycze do siebie werbował, zwróciło się litośnie oko jego na poszczącego kapitana, a uczucia litości wzmagały się w jego sercu, w miarę jak się żołądek jego napełniał łakociami gospodarza.

Przykro mi bardzo kapitanie, żenie masz apetytu, rzekł Jakób Small pełnemi usty i z zadowoloną miną, prawdziwie, przykro mi bardzo, a po, nieważ sniadania bez mleka jeść nie możesz, to

przychodzi mi na myśl czyliby panu czasem nasza kajuta butelki mleka nie pożyczyła.

— Oh, gdyby to być mogło? A czy dobre i świeże?

— Zupełnie dobre i świeże, odpowiedział.

— To muszę koniecznie cóśkolwiek pożyczyć, mówił kapitan, niech posługacz sam mleko to przyniesie.

Skoro rozkaz ten tylko został danym, zjawił się natychmiast chłopak z butelką mleka.

— Widziałeś pan, zapytał się kapitan Fitzalban swojego porucznika, że w dolnéj kajucie mają mleko, chociaż już od miesiąca są na morzu?

— Nie wiedziałem o tém, zdaje mi się jednak że oni lepiéj jak my w takie szczegóły się zaopatrują.

— Wierzaj mi = Wierzaj mi, rzekł kapitan drżąc ze złości, że jeden z téj łyżkowéj gwardji moją krowę doić się ośmielił?

— Może i to być, bo na cóż by się oni nie ośmielili.

Odetkano butelkę, a mleko okazało się zupełnie świeże i ciepłe. Nie mógł jednakże kapitan na tém

bardzo polegać gdyż wszystkie płyny na wyspach Kanaryjskich są w ogólności ciepłe.

— Mleko tak dobre jak nigdy nie piłem.

— Tak, bardzo dobre, dodał Littlejohn nalewając sobie z górą filiżankę tego wysławionego mleka.

— Skąd macie to mleko, moi młodzi panowie? zaczął znów kapitan posuwając o ile możności blisko siebie pozostałą część mleka.

— Drogo je płacimy panie; odparł Littlejohn, za butelkę dolara. Kupujemy je od Józefa Grummet.

Kapitan i pierwszy porucznik spojrzeli z podziwieniem po sobie.

Józef Grummet został natychmiast do kajuty przywołany a kapitan rzucił na niego badawcze i ponure spojrzenie. Józef był to stary, cięty lis, jedném słowem wytrawny marynarz, wiatr mógł sobie dąć skąd chciał, on potrafił sobie zawsze zapewnić miejsce takie na którém był wolny od niego. Pięćdziesiąt lat zmieniły wprawdzie włos jego czarny w siwy i pozbawiły harcapa, ale zostawiły mu jeszcze kilka

loków w kształcie grajcarka, przy ogorzałych skroniach. Skoro stanął przed kapitanem, zagłębił część wskazującego palca w jednym ze swoich loków. Kulał nieco na nogę gdyż mu karabinowa kula jeszcze w kostce siedziała; dla tego też nie wdawał się więcéj w żadne walki i w skutek lat służby i zasług był nazywany kapitanem spiżarni.

Kapitan Fitzalban wpadł ostro na niego, a wskazując na butelkę wypróżnioną, zawołał. Tyś moją krowę wydoił.

— Niepodobna, panie, odparł Grummet, starając się oddać pokłon; zupełnie niepodobna, wasza łaskawość?

— Skądże pochodzi to świeże mleko które ty co dzień przedajesz.

— Za pozwoleniem waszéj łaskawości, wziąłem dla spekulacji parę tuzinów butelek z sobą na okręt.

— Grummet, zaczynam się trwożyć aby ta sprawa jakoś źle dla ciebie nie wypadła. Idź i pokaż doktorowi twoje ręce, on się ciebie o coś zapyta.

Grummet poszedł i wyciągnął swoje długie

palce, które ze swojéj wielkości kształtu i koloru zupełnie do łap morskich psów podobne były. Skóra była na nich gruba jak podeszew, skutkiem ciągłego obej ścia z linami smołą napuszczanemi, a tak ostra że możnaby jéj do drzewa zamiast pilnika użyć.

— Nie sądzę aby nasz przyjaciel pańską wydoił krowę, rzekł doktór, a przynajmniéj nie swojemi rękami, bo teby prędzéj krew niż mleko wydobyły.

Józef pociągnął wzrokiem w około, ale jeszcze nie wyszedł z niebezpieczeństwa.

— Wziąłeś więc kilka tuzinów flaszek mleka z sobą na okręt, a to dla spekulacji? badał go doktor.

— Tak jest panie.

— Skądże je wziąłeś?

— Z angielskiego Harboury.

— A od kogoż je kupiłeś?

— Od Juljanny, téj tłustéj, usamowolnionéj murzynki.

— Już to w tém, rzekł doktor przybrawszy minę wysoko uczonego, już to w tém mnie nie

oszukasz. Jakimże sposobem zapobiegłeś skwaszeniu się mleka w butelkach?

Zapytanie to pewnieby drugiego w ambaras wprowadziło. Józef drapał się swojemi palcami w loki, tak właśnie jakby tam odpowiedzi szukał. Nakoniec zdawało mu się że zapytanie doktora było jasne, więc mruczał i kasłał aż póki doktorowi nie zabrakło cierpliwości.—Jakimże sposobem zapobiegłeś skwaszeniu się mleka? zapytał ostrzéj.

Gotówką je płaciłem, odparł marynarz śmiało.

— Dobra prezrwatywa przeciw skwaszéniu, dodał kapitan, ale strasznie głupio odpowiadasz doktorowi.

— Jeszcze nigdy nie obwiniono mnie o taki występek, wasza łaskawości.

— Wierzę ci, mówił kapitan z miną kwaśną, ale jakto być może że mleko nie skwaśniało?

— Ah panie, wykrzyknął Grummet ktory dopiero poznał swoje niebezpieczne położenie, prosze pokornie o przebaczenie, ale to jest mój sekret.

— Na wszystkie świętości, dziewięcio ogoniasty kot wydobędzie z ciebie tę tajemnicę.

— Spodziewam się pokornie, że do tego nie przyjdzie, i że wasza łaskawość nie każesz bić starego marynarza, który walczył z Howem i Nelsonem i który był w służbie swojéj ranionym nim wasza łaskawość była na świecie;nie,nie każesz kapitanie, bić mię za to przysięgi mojéj złamać nie chcę.

— Przysiągłeś więc nie wydać tajemnicy przed nikim?

— Tak, wasza łaskawości.

Strzeż się Grummet, strzeż się radzę ci. Głupstwo często zdradza tajemnicę, jednakże bez dowodów karać cię nie każę. Ile masz jeszcze butelek tego wybornego mleka?

— Więcéj lub mniéj 8 do 10.

— Odkupię od ciebie twój zapas i dam ci za każdą butelkę dollara.

Na takie wnioski Józef Grummet zaczął nogami dreptać i póty przybierał minę już to filuterną już to głupiowatą, aż póki nakoniec rysy twarzy o ile nieugiętość jéj skóry pozwalała, nie przybrały wyraz błagającéj podległości. Nakoniec rzekł: ,,Za nic w świecie nie chciałbym waszéj łaskawości obrazić, postępując z nim jak z jakim cieślą, znam należny wam szacunek i dla tego ani pomyśléć nie mogę abym waszéj ła-

skawości butelkę mleka mniéj jak za trzy dollary ustąpił, byłoby to w brew uszanowaniu.

— Grummet, odparł kapitan Fitzalban, ty nie tylko że jesteś dobrym marynarzem, ale oprócz tego jesteś i tęgim oszustem. Możesz ty nie obciążywszy twojego sumienia żądać odemnie po trzy dolary za butelkę mojego własnego mleka.

— Nie uwierzycie kapitanie jak drogo mnie ta tajemnica kosztuje.

Józef Grummet przyniósł do kajuty pozostały zapas mleka, który się jednak z dwóch tylko składał butelek. Kapitan zapłacił dostawcy żądaną summę i skoro tenże pieniądze w róg chustki zawiązał, rzekł mu kapitan: „Grummet, rozstaliśmy się po przyjacielsku, nie prawdaż, ale, powiedz mi też, ale z szczerością, jakie jest twoje zdanie o mojej krowie.

— Ja myślę że ją dobre duchy wydoiły.

— Dobre duchy? cóż to u djabła za jedne.

— Nimfy, wasza łaakawość.

— I cóż one robią z mlekiem?

— Tego z pewnością powiedzieć nie mogę,

zdaje się jednak że że ten co je otrzymuje mus zasługiwać na nic

Jak np. starzy ranienieni majtkowie lub kapitan spiżarni, nie prawdaż? ruszaj stary lisie na swoje miejsce.

Józef Grummet ruszając ramionami oddalił się. Kapitan Fitzalban dawszy rozkaz oficerom marynarki aby dniem i nocą przy krowie straż była trzymaną, ukłonił się swoim gościom.

Czcigodny kapitan przez cały dzień był w jak najgorszym humorze, wniczém nie można było mu dogodzić. Żagle były źle rozpięte choć wiatr był najpomyślniéjszy, a niebo i morze uśmiechało się; cóż więc było przyczyną złego humoru? oto zastanawiał się nad śmiałością człowieka który poważył się krowę jego wydoić.

Porucznik pierwszy wziąwszy rękę do kapelusza zameldował mu że słońce wskazuje południe.

— Moją krowę wydoić! mruknął kapitan.

— Nie lepiéjby było odłożyć to do jutra rana, odparł śmiejąc się porucznik, kiedy do jedzenia każemy zadzwonić?

— Uczyń jak będzie lepiéj, rzekł kapitan, a

nakłoczywszy kapelusz na oczy przechadzał się po pokładzie okrętu.

Nazajutrz spał długo, śniadanie już było na stole, goście czekali, kiedy wszedł do kajuty; mleka widać nie było i dla tego też niczego nie dotknął; nakoniec zapytał się porucznika czy z nocy nie ma co nowego?

Pierwszy porucznik przybrał twarz tajemniczą i zdawało się że nie bardzo był skłonnym mówić o podobnych przedmiotach. Zabobonne jego wychowanie nie pozwalało mu żartować z duchów, ale z drugiej strony wcale sobie nie życzył być od kapitana wyśmianym, który by prędzéj w strachy nie uwierzył pukiby je własnemi nie widział oczyma.

Zameldował zatém w krótkości, że doniesiono iż duch nad ranem się pokazał.

— Duch, Panie Mitchell i dla czego mnie nie zawołano? zawołał rozgniewany kapitan. Na honor, przyjąłbym go miléj niż hiszpańskiego posła.

Jak uważam, służba bardzo opieszale postępuje, kiedy duchy mogą przybyć na pokład okrętu i z niego się oddalić a warta nawet nie za-

alarmuje załogi. Duch zatém przyszedł jak sądzę, by moją krowę wydoić.

Porucznik przytakiwał zapytaniu zcałą względnością, jednakże pozwolił sobie uczynić uwagę, że kształcił się na marynarza i oficera, a nie na doktora Teologji, nie może zatém żadnych nad temi nadzwyczajnemi zjawiskami czynić spostrzeżeń i że jest w stanie tylko to potwierdzić, prosząc aby o wyjaśnienie reszty do porucznika załogi się udano.

Posłano zaraz po tego oficera, który niebawem wraz z feldfeblem nadszedł.

Oświadczyli że skoro zmienili poczty, zastali żołnierza który stał przy krowie, rozciągniętego bez przytomności, jego bagnetu nigdzie znaleść nie można było. Zawołano natychmiast felczera, który środkami lekarskiemi znowu go do przytomności i mowy przywrócił. Jednakże nic więcéj dowiedzieć się nie można było, jak tylko że widział jakiś strach i samo to przypomnienie nowe w nim rodziło boleści.

Niech mi natychmiast tego tchórza przyprowadzą, radbym z niego strachy wypędzić, rzekł kapitan, ale odpowiedziano mu że żołnierz jest prawdziwie słaby i że obecnie u niego jest doktór.

— To ja sam pójdę do niego.

I tak się też stało. Wszyscy oficerowie poszli za nim. Lekarz tylko co choremu puścił krew i rozkazał obłożenie głowy, którą cyrulik golił. Chory leżał w gorączce i prawił od rzeczy, co w Indjach jest bardzo niebespieczną rzeczą. Kapitan nie mógł się nic więcej od niego dowiedzieć, jak: djabeł, płomienie, okręt zaczarowany, dziewięć łokci płomienia niebieskiego przerzucenie krowy przez pokład, do nieba przyjść, rogi z rozpalonemi żelaznemi końcami inne teg o rodzaju bez związku słowa.

Od chorego udał się kapitan do krowy, która się bardzo dobrze miała i swoje śniadanie smacznie zażerała; kapitan trząsnął głową i miał się za najnieszczęśliwego człowieka. Na wierzchu okrętu przyszedł naprzeciw niego Littlejohn na którego zawołał.

Littlejohn z oznaką honoru wojskowego przystąpił do uniesionego kapitana, który ze zbytniéj złości, niewiele słów mógł wymówić. Spojrzał strasznym wzrokiem w szczęśliwą twarz Littlejohna wskazując palcem na dół i zapytał lakonicznie: dostaniemy mleka tego poranku.

— Dobrze panie.

— Dobrze?

Littlejohn który dobrze śniadał, przygryzał wargi i uśmiechał się.

— Grumet!

— Dobrze panie!

— Niech go natychmiast do mnie przyprowadzą.

— Bardzo dobrze, panie.

Kapitan spiżarni stanął z kapeluszem w ręku przed kapitanem okrętowym. Szarzec miał dwie części ubioru, koszulę i spodnie płocienne, młody kapitan był w zupełnym uniformie. Starzec przybrał jeszcze niewinniejszą minę baranka jak zazwyczaj i ta obojętność jeszcze bardziéj uniosła kapitana.

— Stary psie, zaczął kapitan, kto przeszłéj nocy moją krowę wydoił?

— To jeden tylko Pan Bóg w niebie wie, wasza łaskawości! któżby to był jeżeli nie duch który biednego żołnierza na łoże boleści zaprowadził?

— Duch zapewnie cię podkusił sprzedać mleko.

— Mnie, panie? Bóg niech zmiłuje się nademną; nie widziałem jeszcze nigdy żadnego ducha.

— A ta flaszka mleka którąś sprzedał.

— Była to jeszcze jedna z tych dawnych pozostała, a którą wczoraj prześlepiłem.

Przez cały przedobiadek kazał kapitan officerów i żołnierzy mustrować, tak że ani chwili nie mieli odpoczynku, jednogłośnie zatém krowę przeklęli. Jakób Smal był przy armacie najbliżéj krowy, i ile razy tylko działo miało być nabitem, krowa odbierała od niego ciężkie razy. Na spód okrętu kazał kapitan wpuścić wodę, aby każdego z ludzi zatrudnić, i tak pod skwarem słońca oblani potem, pracowali aż póki do obiadu nie zadzwoniono. Nigdy pewnie z większym nie jedli apetytem. Zaledwie obiad był skończony kiedy kapitan już nowe spostrzegał potrzeby aby zająć wszystkich majtków aż do trzeciéj. Jeden ten dzień uczynił go w oczach całéj floty najnieznośniéjszym kapitanem.

Cała załoga podzieliła się w opinji względem krowy na dwie partje; jedni wierzyli w moc duchów, a drudzy w oszustwo. Co do liczby, strony te były prawie równe. Ale gdy za nadejściem nocy, żołnierz który stracha widział jeszcze bardziéj zasłabł, powiększyła się liczba zabobon-

nych, i gdy żaden pojedyńczo nie chciał odbyć warty, krowa dostąpiła tego wielkiego zaszczytu mieć straż honorową z dwóch żołnierzy. Kapitan nie pozwolił mieć światła albo innych jakich środków zabezpieczających; sam chciał widzieć ducha i dla tego do północy przechadzał się po pokładzie, ale duchowi nie podobało się tak wcześnie ukazać.

Te dwie warty zostały o północy zmienione ale gdy i potém jeszcze kwandrans było spokojnie, udał się kapitan do kajuty, spodziewając się z następnym rankiem jak najświeższego mleka. Rozkazał jednakże żeby go zaraz przywołano skoro tylko duch się zjawi.

Pobożny porucznik Mitchell pozostał na pokładzie z mocném postanowieniem nie ustąpić choćby co bąć stać się miało.

Była to wspaniała choć dosyć ciemna noc, gwiazdy błyszczały jak drogie kamienie przy odwiecznym tronie Boga. Wiatr dął łagodnie tak że tylko żagle napinał i kołysał wspaniałą fregatą pompatycznie.

Skoro wartę zluzowano, krowa położyła się na swoje podsciółaki i mocnym snem zasnęła

pierwsza godzina po północy przeszła, wszystko było spokojnie, lekkce kołysanie wałów, szelest lin, stąpanie szyldwachów, przerywało kiedy niekiedy to grobowe mil czenie.

Zaledwie pierwszy porucznik i oficerowie od warty i służby zaczęli wolniéj oddychać i głośniejszemi krokami się przechadzać, aż z miejsca gdzie warta stała, usłyszeli ciche wołanie: Do broni! do broni!

Officerowie służbowi wpadli do kajuty aby kapitana obudzić i wszystkie inne osoby biegały ze świecami lub bez tam i owdzie.

W ciemnéj stajence krowy ukazała się postać która zupełnie usprawiedliwiała obawę powszechną. Podług jednozgodnego zeznania tych którzy widzieli ducha, wystawił on tylko głowę i część długiego ciała przez otwor galerji otaczającéj okręt, a reszta jego była wewnątrz w wodzie.

Straszliwa głowa i ogniste oczy były wyraźnie ognistemi linjami oznaczone. Szczęki były szkaradne a trzyrzędowe ostre zęby zdawały się jakby coś śmiertelnego pożerać chciały. Roztoczył na około siebie światło niebieskie

przy którym wyraźnie widziéć można było otwór którym widziadło wesoło. Nie robiło żadnego hałasu chociaż widzowie niektórzy nadziemskie tony słyszéć mniemali.

Opisać zamięszania jakie panowało na okręcie skoro żołnierze i majtkowie straszydło ujrzeli, przechodzi moje siły. Pierwszy porucznik stał w samym środku tłumu z bojaźni zupełnie bezwładny, ludzie uciekali jeden przez drugiego, krzycząc, klnąc i modląc się. Wołanie o światło i nabijanie broni było okropne, a rozkaz postępowania naprzód i chwytania tak często był powtarzanym, że nikt czasu nie miał wykonać go.

Krowa sama która wyobrażała granicę między ziemskiém i nadziemskiém, zdawała się nie mniéj tym straszliwym widokiem być przerażoną. W tém okazało się kilku officerów i majtków z nabitemi broniami. Dano trzy strzały do stracha ale się tém bynajmniéj nie zraził.

— No, rzekł drugi porucznik, jeszcze jedną kulę a potém daléj na stracha. Panie Mitchell, masz pistolet w ręku, strzelaj.

— W imie Trojcy świętéj! rzekł pierwszy porucznik. Paf! — a kula wpadła w udo krowy.

Właśnie wtéj chwili nadszedł kapitan Fitzalban w swoim w duże kwiaty zielonym jedwabnym szlafroku. W każdéj ręce trzymał pistolet z odwiedzionym kurkiem i wołał tłocząc się przez tłum: gdzie duch niech go zobaczę Ale nie widział nic: Skoro tylko kapitan na miejsce przybył, raną do rozpaczy przyprowadzona krowa tak mocne uczyniła poruszenie że zerwała postronek i ze łbem spuszczonym wpadłę a na załoga w téj chwili znikł strach.

Na cóż ludzie mieli się na oczywiste niebezpieczeństwo narazić? Kapitan szczególnie prętko umykał przed grożącemi rogami własnéj krowy, ale nie mógł w swoim szerokim szlafroku biedz tak szybko jak bólem dotknięta krowa; uchwyciła ona go, potrząsła nim mocno i potem rzuciła w naczynie jakieś które w bliskości stało. To było ostatnie jéj wysilenie, bo zaraz potém ducha wyzionęła.

Kapitan gramolił się w naczyniu i mało co-

nie utonął gdyby mu na pomoc nie byli pospieszyli.

Skoro tylko przyszedł do siebie, przeszukano oborę, ale nic nadzwyczajnego nie znaleziono, nawet siarki nie było słychać; cała rzecz ukryła się w największej tajemnicy.

Na drugi dzień było bardzo na pokładzie niespokojnie, bo kapitan poprzysiągł zemstę. Rano wpadł ostro na Littlejohna, wskazał jak wczoraj palcem i rzekł — Mleka.

Littlejohn potrząsając głową odpowiedział: Nie, panie. Pierwszy porucznik miał zastrzeloną przez siebie krowę zapłacić i z téj przyczyny, kapitan i porucznik przez 3 miesiące z sobą nie mówili.

Nie jeden był pojedynek z przyczyny tego strachu. Krowa została podług całéj zasady rzeźniczéj poćwiertowana, ale mało kto chciał jeść mięso od niéj, bo większa część uważała ją za oczarowaną.

Każda historja o strachach jest małą bardzo rzeczą skoro się klucz do niéj znajdzie. Kapitan fregaty Nenia nigdy nie chciał uwierzyć aby w tém coś nadzwyczajnego było.

W dwa lata potém wrócił statek do Anglji, ludzie otrzymali swój żołd i zostali rozpuszczeni. Józef Grummet składał swoje banknoty i złoto z wielkiém zadowoleniem razem do worka; ale nie wyskoczył jak głupiec w pierwszą łódź aby pieniędze prędko na brzeg zanieść, został do ostatka na pokładzie i czekał chwili kiedy zdejmą flagę z okrętu. Skoro się to stało, zażądał mówić z kapitanem, i pokazano mu do kajuty, gdzie mnóstwo zastał officerów, którzy się z swoim komendantem żegnali.

— Wasza łaskawość, rzekł Grummet, przyrzekliście mi raz pięć gwineów, jeśli objawię kto krowę wydoił.

— I dotrzymam mojego przyrzeczenia i dziś jeszcze, jeżeli mi kto tę historję o strachu naturalnie wytłómaczy.

— Ja doiłem waszą krowę kapitanie.

— Józefie, Józefie! to był szkaradny figiel, ale twojemi palcami?

— Rozszerzyłem parę rękawic P. Littlejohn.

— Ależ strach?

— Wziąłem głowę wilka morskiego któregośmy na kilka dni przed tém złowili, odrapałem większą część mięsa z niego i wsadziłem

go w worek od chleba; świecił się po ciemku, a ja ruszałem jego szczękami; — od kul byłem bezpieczny po za galerją i jak wasza łaskawość podszedłeś z jednéj strony, ja wziąwszy łeb rybi pod pachę i poszedłem drugą.

— Oto są te pięć gwineow, ty stary lisie.

MARJA

z MEISSEN.

Droga z Drezna do Meissen prowadzi przez najżyzniejszą i razem najpiękniejszą dolinę Saxonji. Przyjemne ciemnozielone łąki, stanowią brzegi spokojnie płynącéj majestatycznéj Elby, a liczne krzaki brzoz i leszczyny, dają pasącym

się trzodom przyjemne miejsce spoczynku. Zarośla i skały trworzą wtym obrazie, im daléj postępujemy, nader malownicze urozmaicenia. Dusza zachwyca się, uspakaja i staje się tkliwą na uczucie piękności.

Nawet nieromantyczna natura mego powozu, nie mogła zniszczyć wewnętrznego ukontentowania, które czułem, a ponieważ, rzetelnie mówiąc, nasze powozy pośpieszne dobrze są obijane i otwarte, a w téj chwili moi towarzysze podróży dość mieli czucia, aby dzielić zé mną wrażenie piękności téj sceny, nie miałem przeto przyczyny skarżenia się. W końcu dziękowałem nawet przypadkowi, który mię w to towarzystwo wprowadził.

Gdyśmy zbliżali się do Meissen, świetnie błyszczał, przy poranném słońcu, położony na skałach zamek a z klasztoru na sąsiedniéj górze Afra, brzmiał przyjemnie odgłos dzwonu.

W téj chwili własnie cała baczność nasza była zwrócono na mały od osobiony domek mieszkalny, który wpośród małego ogrodu był położony. Wysoki, dobrze wyglądający mężczyzna około pięćdziesięciu lat mieć mogący, przechadzał się po krzemienistéj drodze p zed drzwiami w tę

i ową stronę, czytając książkę. Tak dalece był zatopiony w myślach, że nie słyszał turkotu naszego powozu. Kiedyśmy znacznie zbliżyli się, stanął, odwrócił się do nas, założył ręce w tył, i patrzył na nas poważnym ale uprzejmym wzrokiem. Na pociechę moję powóz zatrzymał się przed kratą. Konduktor zdjął kapelusz jak mi się zdawało z wielką uniżonością i rzekł: przywiozłem wszystkie żądane książki, łaskawy panie, tylko jeszcze elementarz przywiozę w Poniedziałek.

— Bardzo mi to miło, odpowiedział ów jegomość, potrzebuję ich bardzo.

Konduktor wydobył bardzo ciężki pakiet, a podeszły weteran na szczudle, który na odgłos zajeżdżającego powozu wyszedł z domku, wziął go i zaniósł do mieszkania.

— Piękną macie pogodę, dodał obcy.

— Bardzo piękną, łaskawy panie! Czy pan nie ma jakiego zlecenia do Lipska?

— Dziś, nie, dziękuję ci. Szczęśliwéj podróży.

— Dziękujemy panu! odpowiedział konduktor, usadowił się na swojém miejscu i pojechaliśmy daléj.

— Kto to jest ten jegomość? zapytał jeden z moich towarzyszy podróży, młody oficer od strzelców.

— Baron Altenberg, odpowiedział podeszły, zamyślony jegomość siedzący naprzeciw mnie.

— Ach, to baron Altenberg, on należy do sekty braci Morawczyków.

— Nie panie, jest on tylko przyjacielem téj sekty.

— Ten sam, który tak wiele czyni dla upowszechnienia między mieszkańcami pisma świętego.

— Tak jest, ten sam. Czyni on i uczynił już wiele dobrego dla Meissen i okolicy; wszędzie kochają go i szanują.

— Czy nie opowiadają o nim jakiéj dziwnéj historji? zapytał młody człowiek. Mówią że on jest jednym z tych który cały świat widząc w smutném, czarném świetle, radziby żeby wszyscy ludzie nosili żałobę.

— To wcale nie jest jego charakterem, przeciwnie, postępowanie jego z młodzieżą i dziećmi, jest szczególniéj serdeczne i przyjazne; ale to prawda że okropny wypadek zadał sercu je-

go nieuleczoną ranę. Ale nie tu jest miejsce opowiadać to panom; jeśli wysiądziemy w Lipsku w téj samej oberży, opowiem panom jego historję.

Podróż nasza skończyła się; po wieczerzy, ja ponieważ siedziałem naprzeciwko podeszłego jegomości, najpierwszy prosiłem go o dopełnienie obietnicy, a on tak zaczął tonem poważnym:

— „ Marja, którą sam bardzo dobrze znałem, była najpiękniéjszą z pięknych kobiet Saxonji. Powszechnie nazywano ją pochlebnie: Marją z Meissen. Ale wdzięki ciała niebyły jedyną jéj ozdobą. Z niemi połączał się pięknie wykształcony umysł i najłagodniejsza, najszlachetniéjsza dusza. Wydawała mi się zawsze jak wyższa z nieba istota.

Baron Altenberg, wtedy półkownik jednego pułku saskiej jazdy, kochał Marję z całego serca, ale zaloty jego były szczególnego rodzaju. Więcéj niż rok znali się, a on ani razu nie wymówił wyrazu: „Miłość" Często przychodził do domu jéj ojca, a swego przyjaciela, który był dawniéj radcą stanu, a teraz żył z pensji

która wystarczała na zapewnienie mu wszelkich przyjemności życia.

— Marja była jedy ném dziécięciem jego z pierszéj żony, z drugiego małżeństwa miał pięcioro dzieci. Najstarszą była wtedy szesnastoletnia dziewica, inne chodziły jeszcze do szkół. Marja połączała w najwyższym stopniu troskliwość dla swojego młodszego rodzeństwa, z największém przywiązaniem do drugiéj matki, którą jak swoję starszą siostrę kochała.

Wieczorem przed dniem w którym pułk Altenberga miał przejść do czynnéj armi, spotkałem go u ojca Marji, który dawał mały domowy koncert. Pułkownik grał po mistrzowsku na kilku instrumentach, i lubił muzykę nad wszystko.

Zwierzchnicy jego szanowali go jako przedsiębierczego dowódcę, a łagodność i sprawiedliwość jego jednała mu miłość podwładnych.

Przypominam sobie tak wyraźnie, jak gdyby to wczoraj było, jak usiadł przy fortepianie dla towarzyszenia śpiewowi Marji. Siedziałem tak że mogłem widzieć twarz obojga,

a zawsze zachwycałem się szlachetnym wyrazem rysów Marji. Jéj piękne, duże oczy, promieniowały przy spiewie blaskiem którego uroku ona nie domyślała się i święta tęskność przejęła słuchaczy na dzwięk jéj melodyjnego głosu. Widzę ją jeszcze, słyszę ją.

Altenberg śpiewał także, ale rzadko; tego wieczora, kiedy Marja skończyła śpiew, rzekł do niéj: — Marjo, jutro wychodziemy, chcę ci małą piosnkę zaśpiewać.

Marja stanęła przy nim, a on zaczął śpiewać, tak cicho, że ja tylko mogłem słowa pieśni dosłyszéć; reszcie towarzystwa mogło się to wydawać nuceniem, albo raczéj probą śpiewu. Ach! jakże wyraźnie przypominam sobie jeszcze melodję i to tkliwe spojrzenie którém on patrzył na nią, i te słowa:

Ach, chciałbym ci powiedzieć,
Jak ty mi jesteś miłą;
Lecz nie wiem nic więcéj,
Prócz że tego wysłowić nie mogę.

Pochyliła swoją miłą główkę, zarumieniła się i chciała odejść kiedy skończył piosnkę; ale on zatrzymał ją mówiąc:

— Zostań, Marjo, usiądź, szczęście całego mego życia zależy od téj chwili.

Pokój był obszerny, towarzystwo siedziało daleko od fortepianu, oboje myśleli że nikt na nich nie zważa.

Czułem to, chciałem patrzéć w inną stronę, ale oczy moje mimowolnie zwracały się znowu na nich. Marja nachyliła się kuniemu, i przekonany byłem że on zadał jéj to fatalne pytanie, i odebrał na nie odpowiedź, która dwoje ludzi na téj ziemi na zawsze łączy.

Altenberg około dwunastu laty starszy od Marji, był zacnym, cnotliwym człowiekiem, który nie głosił swoich zasad, ale podług nich postępował. Przekonanie o spełnieniu dobrego uczynku było dlań dostateczném. Dla tego myśl o połączeniu z nim Marji bardzo mię cieszyła.

Po zawarciu sławnego zawieszenia broni między Napoleonem i sprzymierzonemi monarchami w Czerwcu 1813, Altenberg wrócił z swemi dzielnemi dragonami. Usilnie prosił on zacnego ojca Marji aby przyzwolił na połączenie się ich niezwłoczne, co podług poprzedniego ukła-

du po ukończeniu dopiero wojny miała być dopełnioném.

—Jeśli pokój nastąpi po zawieszeniu broni, mówił Altenberg, tedy zaraz wezmę uwolnienie od służby i pozostanę przy was, ale jeśli do tego nie przyjdzie, tedy wojna będzie bardzo długą i krwawą, i Bóg wie czy zobaczę jeszcze moję Marję. Marja sama nic nie mówiła w tym przedmiocie, ale jéj milczenie zdawało się dość przemawiać. Ojciec zezwolił.

Podobnego obrzędu zaślubin, jak ten o którym mówię, pewno nie będę widział w życiu mojém. Całe miasto miało w nim udział, wszyscy kochali Marję i szanowali, gdziekolwiek pokazała się niosła z sobą radość. Nieszczęśliwych pocieszała, nędzę biednych słodziła, zbliżenie się jéj było przybyciem anioła!

Przed wschodem słońca w dniu naznaczonym na odbycie obrzędu ślubnego, zakrystjan mimo wszelkiego wzbraniania się musiał otworzyć drzwi kościołka na przedmieściu, i wpół godziny całe wnętrze domu Bożego przystrojone zostało najpiękniejszemi kwiatami, i jakby zmienione w woniejącą zieloną altanę.

W Saxonji, postępujemy podług dawnego dobrego zwyczaju i odprawiamy wesele jak można najuroczyściéj, jest to święta uroczystość, najważniéjszy dzień w życiu. Gdy orszak weselny stanął przed kratami cmentarza, przyjęło parę oblubieńców dwanaście dziewic z Meissen, z koszykami kwiatów. Szły one przed niemi do kościoła sypiąc kwiaty i spiewając hymn święty. Kościół był natłoczony. Głowa Marji zdobną była koroną róż białych i nigdy w życiu mojém nie widziałem przystępującéj do ołtarza piękniéjszéj pary. Słyszę jeszcze ten drżący głos którym wymówiła przysięgę, słyszę uroczysty śpiew hymnu i nigdy nie zapomnę tej chwili. Kiedy wyszli z kościoła dzwony wesoło brzmiały i pogodne słońce upiękniało całą okolicę.

Stałem blisko kraty, kiedy szczęśliwa para szła do powozu. Oboje zdawali się głęboko być przejętemi tą myślą, że zostali połączonemi z sobą na wieki.

Przed bramą krat otaczających cmentarz, klęczały dwie ubogie rodziny sekty braci Morawczyków, które dzięki staraniom i wsparciu Ma-

rji znalazły schronienie w Meissen. Kiedy nowo zaślubieni koło nich przechodzili, spojrzeli wszyscy w niebo i tylko mała dziewczynka wstała i podała każdemu z nich oprawną w biały atłas książkę pieśni, która jak to Marja wiedziała zawiera wybor hymnów używanych przez ich gminę. Oboje przyjęli ten dar z prawdziwém zachwyceniem i podziękowali z całego serca dawcom jego.

Żegnani błogosławieństwem wrócili do miasta Dzielne dragony Altenberga stały przed swemi koszarami i przywitały dowódcę schylając pałasze. Każdy z nich ochoczo byłby ostatnią kroplę krwi oddał za Marję i jéj męża.

Uczta weselna była zastawioną na otwartém powietrzu. Jeden stół nakryty był dla ubogich drugi dla dzieci. Trębacze pułku dragonów grali, a najlepsi śpiewacy z Meissen spiewali na przemian w czasie uczty. Po ukończeniu jéj podług zwyczaju tańczono pod gołem niebem do zachodu słońca i na tém skończyła się uroczystość.

W krótce potém pułk Altenberga musiał pomaszerować do Drezna, gdzie zostawał przez cały miesiąc. Nie jeden przyjemny wieczór spę-

działem tam z szczęśliwą parą. Marja była wierną przyjaciółką i towarzyszką swego męża, prędko nauczyła się znać i wypełniać obowiązki swego nowego stanu.

Może zdaje się dziwném że tyle mówię o osobie już nieżyjącéj, ale rzetelnie, była ona tak rzadką istotą, tak wybornemi przymiotami uposażoną, tak słodką i cnotliwą, że wspomnienie o niéj zawsze mię unosi i zapałem przejmuje.

Wtedy Napoleon był w Dreznie. Stał kwaterą w posiadłości hrabiego Marcolini na Friedrichstadt; wczasie całego zawieszenia broni w mieście było głośno i szumnie, co wcale z sposobem myślenia Marji nie zgadzało się.

Jeśli, rzekł raz Altenberg, to zawieszenie broni zakończy się powszechnym, szczęśliwym pokojem, jeśli Francuzi cofną się za Ren, wtedy wezmę uwolnienie od służby, i kupię folwark Ulrycha pod Meissen; jest to małe przyjemne miejsce, dość obszerne dla nas obojga.

— Daj Boże! żeby się tak skończyło! odpowiedziała Marja. Ah gdybyśmy to byli już razem w téj przyjemnéj dolinie. Nie nawidzę wojny, nie lubię Napoleona. Czy pamiętasz przyjacielu te piękne wyrazy które wczoraj czytali-

śmy w Walensteinie. Jak Max tęskni do pokoju i swojéj ulubionéj, z jaką niechęcią spogląda na swoje przeszłe życie? Czy pamiętasz te żywe obrazy i te piękniéjsze jeszcze wyobrażenia okolic których wojna jeszcze nie dotknęła.

Z jaką tkliwością Marja wymawiała te słowa, a Altenberg, ten znakomity żołnierz który tyle walk chwalebnie przebył, odpowiedział jéj słowami poety.

„Krwawy laurowy wieniec oddam z radością, za pierwszy fjołek który nam Maj przyniesie.

Były to dwa jednakowe piękne duchy, jeden wcielony w wojownika drugi w tkliwą kobietę.

W tym czasie co godzina nadchodziły nowe wojska do miasta, parady i przeglądy były bez końca. Na ulicach, placach i miejscach przechadzki widziano tylko marsowe mundury i pióra oficerskie rozmaitych kolorów, rozwiewane wiatrem.

Pewnego dnia widzieliśmy galerję obrazów, ale w tych salach nie podobna było pięć minut postać. Przed wspaniałą madoną Rafaela stało mnóstwo ludzi, i nie było nic słychać prócz brzęku pałaszy i wykrzykników. Balletyn

wielkiej armji. — Zwycięztwo i podboje! — Niech żyje Cesarz!" Niepodobna było przyjrzéć się obrazom.

Wracając, spotkaliśmy Cesarza. Marja jeszcze go nigdy nie widziała. Jechał on ulicą Pernaer kilku krokami wyprzedzając swój mały orszak, i zdawał się bardzo zatopionym w myślach. Tuż przed nami koń jego upadł, Altenberg poskoczył mu natychmiast na pomoc, ale Cesarz powstał pierwéj nim pomoc nadeszła. Dość długo trwało nim udało się Altenbergowi i jednemu koniuszemu, zmusić konia żeby wstał. Zupełnie przeciw swemu zwyczajowi Cesarz nie okazywał zajęcia się swoim koniem. Zdawał się nie zwracać nawet uwagi na tych którzy mu pomoc nieśli! Z bladą twarzą, ściśnionemi ustami i błędnym wzrokiem, stał spokojnie póki mu nie dano jednego z koni powodowych, na którego siadł powoli i pojechał daléj ścieszką.

To zdarzenie wszystkich nas bardzo obeszło. Marja cały wieczór była zmięszaną. Ciągle mówiła że serce jéj przepowiada jéj nieszczęście. — Luba żono, odpowiedział jéj Altenberg, tkliwie sciskając jej rękę, nie bądź trwożną. Jesteś żoną żołnierza, która niepowinna poddawać się czczym i bezpożytecznym obawom. Na polu bitwy równie nad nami czuwa Opatrzność, jak gdziekolwiek

indziéj. Gdybym poległ wśród boju dusze nasze nie rozłączą się i tam luba, wysoko, zobaczemy się z sobą. Pójdź, zagraj mi twój hymn ulubiony.

Marja siadła przy fortepianie i zagrała pieśń nabożną, któréj słowa głoszą zupełne zaufanie w opiece Najwyższego. Wdzięk kompozycji téj swiętéj pieśni przejął nas ufnością i spokojniéjsi rozeszliśmy się.

Następnego rana jako wdzień urodzin Napoleona, był świetny przegląd w Ostrawald. Altenberg prosił mię żebym towarzyszył Marji, która tam udała się powozem. Cesarz pełnym galopem w towarzystwie króla saskiego i książąt rodziny królewskiéj przejechał koło nas; jego twarz miała surowy i uroczysty wyraz. Podczas defilu wojsk, poruszenia jego zdradzały znużenie i niecierpliwość, zdawał się być niespokojnym wszystko bardziéj nudziło go niż zajmowało. Był to wspaniały widok; Kirasiery, karabinjery dragoni, strzelcy, huzary i inne rodzaje wojska, z rozmaitością mundurów, broni, choręgwi, orłów i sztandarów, przeciągali ściśnionemi massami. Głośna wesoła muzyka ożywiała ten obraz. Mieszkańcy zapomnieli trosk i obawy, a nawet

mnie i Marji ta pstrocizna sprawiała przyjemność.

Pułk Altenberga który stał na lewém skrzydle przechodził prawie ostatni. Pułkownik jechał na pięknym karym rumaku na czele brygardy złożonéj z pułku kirasierów Zastrowa i jego dragonów.

Pomimo pięknéj zupełnie pogody, nie wiem dla czego Altenberg był nadzwyczajnie bladym, ciemna chmura pokryła jego szlachetne, marsowe oblicze. Kiedy przeszły ostatnie szwadrony kirasjerów, trębacze dragonów zagrali swoją pieśń wojskową. W tonach jéj było coś tak przenikającego, że istotnie głęboko byłem wstrząśniony. Wrażenie jakie uczyniły na Marji, było jeszcze silniejsze. Blada jak trup, pochyliła się w powozie, zamknęła oczy i żądała wrócić do domu.

Wieczorem znowu byliśmy zebrani. Altenberg żartował z jéj słabości i ona sama nawet starała się śmiać się z tego wypadku. Następnego dnia nieprzyjemne wrażenie zdawało się zupełnie być zatartém, już to przez wesołe rozmowy męża, już to przez wpływ pięknéj pogody; ale przede wszystkiém przez jéj nieograni-

czonę ufność w dobroci i mądrości wszechmocnego Boga.

Wieczorem dnia 15 Sierpnia wrocił z Pragi poseł francuzki. Napoleon opuścił natychmiast Drezno, i pojechał do Szląska, już nie wątpliwém było że wojna rozpocznie się na nowo.

Z rana dnia 24 Altenberg musiał rozłączyć się z Marją — dni które potém nastąpiły nigdy nie zapomnę. Ile ta szlachetna kobieta wycierpiała do śmierci, wiem częścią z tego com widział, częścią od jéj służących. Często ją odwiedzałem po odjeździe Altenberga i niekiedy bawiłem u niéj przez dzień cały. W mieście biegały pogłoski, że połączona armja zbliża się z Czech w nadzwyczajnéj sile, i że Francuzi i Sasi którzy pozostali dla zakrycia Drezna, nie wystarczą do stawienia silnego oporu, chociaż wszyscy przekonani byli że uczynią wszystko aby utrzymać stolicę tak długo jak tylko się da.

Od forpoczt nie dochodziły żadne wiadomości, mieszkańcy stali na ulicy gromadkami i udzielali sobie wzajemnych obaw i niespokojności, z powodu nadchodzącéj walki. Interesa i rozrywki publiczne ustały. Jakże sprzeczną z tém była hałaśliwa wesołość żołnierzy.

Musztrowano oddziały, wozy wojskowe przebiegały ulice, posyłki galopowały w tę i owę stronę, kolumny przybywały i oddalały się, a nic nie dowiadywano się, prócz że nieprzyjaciel postępuje na przód.

Marja zdołała powierzchownie przynajmniéj wydawać się spokojną, ale prowadzić rozmowę było dla niej niepodobném. Następnego dnia wyglądała bardzo słabą; widocznie było że nie spała. Wielka niespokojność opanowała ją, co chwila zbliżała się do okna, i żadne słowo pociechy nie miało przystępu do jéj serca. Ah! godziny tak powolnie upływały.

Po południu mały oddział naszych przyprowadził kilku niewolników.

— Czy żyje pułkownik Altenberg? zapytała z okna Marja, przystąpiłem do niéj, w téj chwili przechodził jeden dragon z pułku jéj męża, prowadząc ciężko rannego kolegę. — Pułkownik ma się dobrze, łaskawa pani, ciężka jazda biwakować będzie o pół mili od miasta, Marja poszła do swego pokoju i za kilka chwil wróciła płacząc i śmiejąc się razem. Prosiłem jéj żeby wzięła jaki posiłek i udała się na spoczynek; przyrzekła to oboje uczynić.

Przed świtem 26 Sierpnia dały się słyszéć w kierunku Pirna grzmoty dział, które wtedy zbyt dobrze były znane mieszkańcom Niemiec. Ogień zdawał się być bardziéj oddalonym niż był w istocie.

W milczeniu przechadzała się Marja po pokoju tam i na powrót. Po niejakim czasie strzały stały się głośniéjszemi, można było wyraźnie rozróżnić ogień karabinowy; Nagle rozszedł się okrzyk: „Wojsko pruskie jest już w wielkim ogrodzie.“ Mieszkańcy w rozpaczy prawie przebiegali ulice miasta, i co chwila spodziewali się widziéć wchodzące sprzymierzone wojska nieprzyjacielskie. Ale zamiast tych, jedna po drugiéj kolumny francuzkie przechodziły przez most na Elbie, a na ich czele jechał Napoleon z uśmiechem na twarzy i wszędzie rozlegały się odgłosy: *Vive Napoleon!* — *vive l'Empereur!* Jego obecność wlewała nowe męztwo w serca żołnierzy, a zwycięstwo zdawało się nieochybném. Nawet Marja myśląc tylko o Altenbergu, powiewała białą swą chustką i wołała głośno: *Vive Napoleon!*

Cesarz szybko wydał rozporządzenia. Około trzeciéj godziny nieprzyjaciel rozpoczął na

wszystkich punktach główny napad. Miasto zadrżało od grzmotu dział, niezliczone mordercze paszcze były w ciągłym ruchu, a godzina po godzinie upływała, bez wieści o rezultacie walki.

Marja i ja byliśmy przy oknie, kiedy przechodziła gromada ranionych. Granat padł wpośród nich i młody francuzki grenadjer mający rękę na chustce, padł bez życia w naszych oczach. Od téj chwili Marja nie odstąpiła już od okna. Myśl, że podobny los mógł spotkać Altenberga wśród boju, nie zostawiła jéj chwili spokojności, i zdawało się cieszyć ją to, że i ona wystawioną jest na podobne niebezpieczeństwo.

Nakoniec noc położyła koniec walce. Wojska sprzymierzone odparte zostały na wszystkich punktach; ogień zwolna ustawał. Powietrze było nieznośne, deszcz padał strumieniami, a wiatr mroźny czynił go jeszcze przykrzéjszym.

Dragona który przyszedł z posyłką, zobaczyliśmy wtedy dopiero gdy wszedł do sali, Marja pobiegła przeciw niemu.

— Od pułkownika, łaskawa pani! rzekł dragon i podał jéj kartkę. Marja padła na kola-

na i dziękowała Bogu ze łzami za ocalenie jéj męża. Na kartce było napisane.

„ Marjo, jestem zdrów, bądź spokojną, najdroższa i nie wchodź z domu. Altenberg.“

Była nad wszelki opis szczęśliwą. Oddawca został nakarmiony i napojony jakby byłsamym Altenbergiem; Marja sądziła że nie może dostatecznie wywdzięczyć mu się za wiadomość od męża; mniemała że już wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

Hałas na schodach, turkot wozów, jęk rannych, nie pozwolił myśléć o spoczynku. Prosiła mię abym u niéj pozostał, niespokojna przechadzała się po pokoju i mówiła więcéj do siebie niż do mnie: „Boże, kiedy te okropne mordy ustaną!

Około siódméj godziny z rana mimo silnego deszczu zaczął się na nowo ogień. Był on bardziéj oddalony i nie tak mocny jak w dniu poprzednim, ale to samo właśnie zwiększało obawę. Marja była okropnie bladą. Jéj mąż który jéj był najdroższym w życiu, znajdował się wśród walki; może już nawet nie żył.

Około drugiéj po południu, jak poźniéj dowiedziałem się od jej pokojowéj, przed oknem

Marji, zatrzymali obywatele jezdca powracającego z pola bitwy, i zapytywali go o jéj wypadki. Usłyszała nazwisko Zastrow. — Czy nie wiesz co o brygadzie Altenberga? zapytała z okna. — I owszem, odpowiedział, dywizja konnicy okryła się wielką sławą. Przy Rossthal uderzyli na dywizję Austryjacką, i ci których miecz oszczędził, zostali wzięci w niewolę.

— Czy pułkownik nie został raniony? — Nie wiem tego, ale być może, bo zawsze był na czele. Trzy karry austryjackie złamał najzupełniéj, widziałem go w pośród najgorętszego boju. Marja zaledwie to usłyszała wzięła swoję salopę, zarzuciła kapturek na głowę i twarz i mimo dymu i słoty udała się ku Rossthal. W kilka minut po jéj wyjściu nadszedłem i dowiedziałem się od służącej dokąd się udała; pobiegłem jak mogłem najspieszniéj ku wielkiéj reducie za bramą Falka. Przypominam sobie że widziałem tam Napoleona przy ogniu biwaków. Tuż obok niego wystawały z ziemi ręce i nogi człowieka który zdawał się być świeżo zagrzebanym. Zapytałem się

jakiegoś żołnierza czy nie widział przechodzącéj jakiéj damy? Rozśmiał się głośno i rzekł: Damy? nie, nie widziałem żadnéj, bo i cóżby ona tu robiła. Pobiegłem daléj.

Słabo tylko mogę sobie przypomniéć co widziałem. Obraz był tak okropny, przerażający, że zaledwie byłem panem moich zmysłów. Przybyłem w miejsce gdzie przed chwilą walczono. Kule działowe padały w około mnie, i ryły głęboko ziemię, ale zapominając zupełnie o własném niebezpieczeństwie, myślałem tylko o tém, jak i gdzie znajdę nieszczęśliwą Marję. Całe pole pokryte było trupami, rannemi, zdemontowanemi, działami roztrzaskanemi wozami i zabitemi końmi. Nigdy nie zapomnę téj sceny. Biegłem ile mogłem i przybyłem nakoniec na stratowaną kopytami końskiemi łąkę Rosthal. I tu widziałem tylko poległych i rannych, najwięcéj kirasjerów i dragonów z dywizji Altenberga, a w pośród nich zwłoki kobiety, w zupełnie przemokłych sukniach z rozpuszczonemi włosami. Przyjrzawszy się bliżéj, poznałem Marję. W jaki sposób śmierć znalazła, to Bóg wie tylko, który rządzi sercami ludzi, ranioną nie była wca-

le. Obok niéj leżały zwłoki oficera którego twarz tak była ranami okrytą że nie można było rozeznać jéj rysów. Z postaci i ubioru zdawało się że to był Altenberg. Nie wiedziałem co czynić, pozostałem przy trupach; ze drżeniem tylko mogłem pomyśleć o Altenbergu. Brygada jego z powodu ciężkich strat jakie poniosła, wróciła do miasta. W domu dowiedział się pułkownik dokąd udała się Marja. Rozpuszczonym galopem przybiegł na pole bitwy. Widzę jeszcze jego długi biały płaszcz powiewający od wiatru, jego bladą twarz i osłupiałe oczy. Zobaczywszy mię zesiadł z konia i rzekł do mnie głosem wyrzutu. „Powinieneś był nie pozwolić żeby Marja to uczyniła.“ Nie mogłem mu odpowiedzieć, język mój stracił władzę. Wziął zwłoki żony, położył na koniu, przycisnął do swoich piersi i zwolna pojechał na powrót w milczeniu; z rozdartém sercem poszedłem za nim.

Kiedy przechodziliśmy koło reduty, Napoleon z marszałkiem Berthier stał jeszcze na drodze. Cesarz poznał mundur dzielnych drago-

nów. — Spodziewam się, rzekł, że rana wasza nie jest niebezpieczną, pułki Zastrowa i Altenberga okryły się sławą, nie zapomnę polecić ich królowi. — Czy to nie sam pułkownik Altenberg? dodał prawie niecierpliwie, nie otrzymując odpowiedzi — Tak jest, to on sam, odpowiedziano, ale jest ciężko ranny i bez wątpienia nie będzie już mógł służyć W. C. mości i swemu królowi.

Pojechał daléj. Nie mogłem wstrzymać się od opowiedzenia Cesarzowi okropnego wypadku. Ten zdobywca, w którego oczach życie ludzkie w każdym innym razie nie miało żadnéj wartości, silnie był wzruszony mojém opowiadaniem, bębnił palcami w tabakierkę, zawołał prędko o konia i odwrócił się ode mnie.

Może się wam dziwném zdawać moi panowie, dodał opowiadający, że nie przemówiłem dziś z rana do Altenberga. Niespodziane spotkanie, możeby go było zbyt wzruszyło, a obecność obcych mogłaby mu być nieprzyjemną. Z tego powodu nie chciałem mu się pokazać. Jesteśmy wiernemi przyjaciołmi, których wielka

zasada,—miłość Boga — łączy. Altenberg zniosł swoję stratę z cudowną wytrwałością, ale też udał się wtém nieszczęściu do lekarza który mu mógł udzielić pociechę. Jest on chrześcianinem w całém tego słowa znaczeniu.

ZA PÓŹNO.

— „ Jestże przykrzéjszy i nieszczęśliwszy stan na świecie, jak nasze powołanie? mówił z użaleniem Edward Pille do swego kolegi i zaufanego przyjaciela, doktora medycyny i chirurga kompanijnego, Oskara Heilhoff, kiedy z bi-

letem kwaterunkowym w ręku, z małym tornistrem chirurgicznym na plecach, i pałaszem przy boku, zbliżali się do małego domku leśniczego w lesie bukowym, gdzie przez dwa tygodnie podczas zebrania się wojska w téj okolicy pozostać mieli. — Czyliż przez cały dzisiejszy marsz, mówił dalej po głębokiém westchnieniu, kiedy każdy oficer a nawet żołnierz, w chwilach ustanku oddawał się spoczynkowi, albo doświadczał swoich zębów na kawałku chleba z ostatniéj kwatery,—czyliż przez cały ten czas, mówię, mieliśmy chociaż chwilkę spoczynku? — Panie doktorze krew puściła mi się nosem!—Panie doktorze, poradź mi pan co na skaleczoną nogę. — Ah, panie doktorze, słabo mi się robi. — Do kroć set sza..... gdzie są plastry? — Grenadjer N. umiera! — i t. d. i. t. d. —Takie odgłosy ze wszech stron wzywały nas tu i tam, jakbyśmy innemi byli stworzeniami i nie mieli nosów, nog i skłonności do zemdlenia i śmierci. I teraz w końcu, kiedy sądziliśmy że przynajmniej na równi z pociągowemi uważani być powinniśmy, posyłają nas do najodległéjszéj kwatery, do jakiéjś leśnéj jaskini, gdzie ani słońce ani księżyc naszych cier-

pień blaskiem swoim nie oświeci. Syty już jestem tego nudnego i przykrego życia, i wielką mam ochotę dziś jeszcze powiesić się na którym z tych wielkich dębów.

— Braciszku, śmiejąc się rzekł równie znużony, ale nie tak bardzo zniechęcony Oskar, każdy rodzaj życia ma swoje przykrości i trudy, które przemijają i dają się zapomnieć, a trąba żałoby w którą dmiesz tak silnie, zagra wkrótce przyjemne Adagio.—Patrz, nie jestże to sielski raj Mathissona, ten domek leśny, gdzie zaśpiewamy sobie; „Ah jak przyjemnie jest na zielonéj murawie, na łożu z darni, kiedy.....

— Kiedy źrodło Aganippy doda nowych sił znużonym członkom naszym, przerwał żartobliwie Edward. Wiesz, że nie lubię podobnych arkadyjskich sytuacji,—najnędzniejszy pokoik w wysokim zamku jakiego dumnego barona, gdzie nasi oficerowie wesoło bawić dziś będą, milszym byłby dla mnie jak cały raj twojéj pani leśniczyny.

—Nie narzekaj! rzekł Oskar z komiczną powagą, i twoja godzina przyjdzie niedługo, kiedy chętnie zamienisz przykrości publicznego życia, na samotność pocieszającéj natury.

— Kameleonie! z śmiechem przerwał Edward, jakże różnem były od dzisiejszych, twoje wczorajsze zdania przy pieniącym się szampanie hojnego prałata.

— Wtém to właśnie polega cała sztuka naszego mrówczego życia, zmieniać się stosownie do okoliczności, i równie z bukietu wina reńskiego, jak z kwasu serwatki miód wyciągnąć. Wczoraj piwnica prałata dała nam zamorskie wina, dziś mleczarnia leśniczyny da nam ochłodę i posiłek.

— Piękna nadzieja! Odezwał się Edward żałośnie.

— Istotnie, bo leśniczyna ma mieć powabną córkę, odpowiedział Oskar. Ale braciszku, dla czego tak nagle przyśpieszyłeś kroku. Weź mię za rękę Edwardzie, albo uwieszę się u poły twego munduru i będziesz mię musiał ciągnąć, jak lokomotywa na kolei żelaznéj ciągnie wagony ładowane węglami.

— Edward wstrzymał się nieco. — Jednę córkę tylko, mówiłeś, zapytał.

— Tak słyszałem, odpowiedział Oskar, a ponieważ widzę że to ci dodaje nowych sił i życia,

przeto oświadczam ci zawczasu, że tu nie pozwolę ci tak jak przeszłym razem wysadzić się z siodła, ponieważ już oddawna pałałem miłością dla wszystkich córek leśnych.

— Dla mnie możesz się kochać w ich matkach nawet, mruknął Pille, ale powiedzże mi jakim sposobem dowiedziałeś się o téj nymfie.

— Ha, ha! zaczynasz być poetycznym! zawołał głośno śmiejąc się Oskar.—Jużby też czas było schować twój kwaśny humor, bo oto już jesteśmy u celu.

Wśród téj rozmowy młodzi lekarze doszli do glinianéj ściany otoczonéj wysokim płotem, za którą mieszkała teraz wdowa zmarłego przed rokiem leśniczego Burg. Wielki, kudłaty wyżeł, niegdyś szczęśliwy i wierny towaszysz leśniczego, powitał gości wesołém szczekaniem, a zaraz potém wyszła Marta służąca, dla pokazania panom wojskowym przeznaczonego dla nich mieszkania.

— Na honor, tuby nam było wybornie, tu moglibyśmy wybudować sobie chatkę! zawołał Oskar, w rozkosznem uczuciu jakie każdego żołnierza po długim marszu przejmuje, kiedy

zrzuciwszy pakunek, może znużone członki złożyć na wygodném krześle.

— A jaka śnieżna, świeża bielizna w pokoju mówił daléj, kiedy jego wprawnemu oku rozwinęły się powaby nowego mieszkania. Och, kolego! niech się dzieje co chce, nie ruszę się dzisiaj z tego miłego miejsca spoczynku.

Edward nie pomagał tym głośnym wyrażeniom zadowolenia, ale widać było z systematycznego rozpakowania tłomoczka, poprawiania ubioru i tym podobnych kalendarskich znaków, że nie ma zamiaru za stracone liczyć następujących dni czternastu, które w domku leśniczyny miał przepędzić.

Pani Burg, w niczém nie zaniedbywała oznak przychylności dla przyjemnych gości, — ich obecność była uroczystością dla wszystkich mieszkańców całéj okolicy, ponieważ od dawnych lat nie było u nich nic podobnego. Skoro przedstawiła się naszym panom dla przywitania ich, Oskar pospieszył z całą grzecznością dworaka sypnąć mnóstwo pochwał i grzeczności, ale nitka jego zwykłych komplementów zerwała się za pierwszym obrotem wrzeciona, —bo stał zupełnie przeciw oczekiwaniu,

przed młodą, kwitnącą kobietą, która wzrosłszy w pośród ożywiającéj wiejskiéj natury, do 34 lat zaniosła z sobą świeżość dwudziestéj wiosny.

Zdawało mi się że córka i matka w jednéj osobie stoją przed nami, rzekł Oskar, zostawszy sam z swoim przyjacielem, — bo nie tylko nie widziałem dotąd najmniéjszego śladu młodéj dziewczyny w tym domu, ale nadto gospodyni nasza zbyt jest niezawodnie młodą, aby mogła mieć dorosłą córkę. Jakkolwiek bądź wreście, pani Burg jest wyśmienitą kobietą i każdemu ktoby na jéj widok pozostał obojętnym, jak ty, rzuciłbym rękawicę wyzwania.

— Ja nie mogę jéj podnieść, gdyż znajduję także naszą gosposię nie brzydką.

— Nie brzydką! Człowieku, który zdałeś examen na lekarza, czyliż tak zupełnie zapomniałeś anatomji, że wspaniałą harmośję wszystkich jéj członków i ten piękny skład ciała, ten powab, ten wdzięk jéj poruszeń, tylko nie brzydkiemi nazywasz? Każ sobie zwrócić

pieniędze które wydałeś na naukę, ta kobieta jest aniołem.

— Nie wiem do jakich aniołów miałbym ją policzyć? odpowiedział Edward sucho, i odwrócił się w otwarte okuo.

— Zimny jesteś jak ryba, odezwał się Oskar i otworzył drzwi, aby jeśli można zobaczyć gdzie piękną gospodynię.

— Nieba! co to jest! zawołał i wskazał na dziedzieniec. Jakem doktór, to beczka heidelberska na wielblądzie. — Co znaczy ten potwór w naszym okręgu.

— Ha, ha, ha, rzekł Edward to jest gach twojego anioła, jakem poczciwy. Patrz na tę twarz oliwną, jak się wyciąga aby dwom małym na kształt grochu oczkom, dozwolić spojrzéć do okna mieszkalnego pokoju. Istotnie, otóż i przedmiot jego tęsknego wyglądania —patrz, jak poufali, życzę pomyślności pani Burg. Patrz, patrz, jak ciągnie jéj małe łapki do swéj wieprzowéj paszczy. Szczęśliwéj podróży pani leśniczyno, oby panią nie spotkał podobny los jak Jonasza.

Bracie, podaj mi fuzję ze ściany, niech przy-

najmniéj téj poczwarze skórę okopcę; zawołał Oskar z komicznym giewem chwytając za rękojéść swojéj szpady. Samjelu, pomagaj! niech moja kula nie chybi celu.

— Uprowadza ją, uprowadza ją, daléj za nim, krzyknął Edward wypadając z dobrze udanym gniewem za drzwi; gdy już jeździec z leśniczyną był po za węgłem domu ; gdy tym czasem Oskar ze złości i gniewu tak jak przyrośnięty patrzał za nim. Ale nie daleko potrzebował patrzéć, bo z miejsca na którém para tylko co rozmową się bawiła, Pille zobaczył lekką suknię leśniczyny jak ta ostatnia za powracającym już ku domowi rycerzem wołała:

— Dziś wieczorem o 11téj czekam.

— To aż nadto wyraźnie, istotnie, miłosna rozmowa, nie potrzebująca większego objaśnienia, mruczał Edward wracając do swojego w myślach zatopionego kolegi.

— No i cóżeś widział? zapytał tenże chciwie, wyrzekniej mój wyrok, ale nie zwodź mnie.

— Szybko uchwycił Edward gitarę, która

wisiała na ścianie i zaczął śpiewać, ale przerwał mu żołnierz, który wszedł w téj chwili.

— Pan doktor Pille, zechce się udać do kompańji, porucznik Walburg zasłabł na zęby, rzekł posłaniec i odszedł.

— No, powiedz sam, zawołał, na prędce dentystą mianowany Pille, czy można choć na chwilę być pewnym swojego czasu. Wolałbym na honor, być laską mojego ojca, bobym spoczywał po dwadzieścia godzin na dobę, aniżeli biednym chirurgiem kompanijnym.

A jednak na całéj ziemi nie było pilniejszego, sumienniejszego i poczciwszego lekarza jak on, wyszedłszy z domu ojca opatrzony kamieniem filozoficznym, o który każdy człowiek, a zatém i lekarz stara się wszelkiemi siłami, to jest dostatnim majątkiem, — nie lękał się kataru ani kaszlu, choć go ktoś nagle obudził z najsłodszego snu nawet. Lubił on towarzyskość, a jednak łoże boleści słabego bliźniego było dlań przyjemniejszém jak wszystkie zabawy przy świetnie zastawionym stole. Gotów zawsze trącić się szklankami z przyjacielem, był jednak zawsze panem sie-

bie; bo życie jego poświęcone było ludzkości która od sług swoich często wymaga zrzeczenia się samego siebie.

Opatrzony lewarkiem do rwania zębów i innemi na wszelki przypadek instrumentami, opuścił Pille szczęśliwego kolegę, któremu tym szasem przyjemniéjszy daleko los był przygotowany.

Nie postanowiwszy jeszcze w jaki sposób zabrać ma bliższę znajomość z przyjemną gospodynią, otrzymał od niej zaproszenie aby przyszedł pić kawę na otwartém powietrzu, pod wielkim dębem. Szybko ułożywszy swoję powierzchowność, pośpieszył do salonu natury, gdzie ani bogactwa, ani zbytek, ani grzeczności przesadzone podług przepisów, nie oczekiwały go, a gdzie jednak czuł że będzie szczęśliwym. Pani Burg przyjęła go siedząc przy stole dębowym, na którym stały dwie filiżanki.

— Czy córka pani nie będzie także.... zapytał wachając się doktór.

— Mój Boże, skądże pan wiesz? zapytała z swojéj strony gospodyni, widocznie pomięszana:

— Dowiadywałem się we wsi, i dowiedziałem się.

— Moja córka będzie żałowała za powrotem, że nie miała przyjemności poznać panów.

— Czy wyjechała?

— Dzisiaj zrana.

— Zapewnie aby nie mile widzianym gościom z drogi ustąpić.

— Pani Burg zarumieniła się cokolwiek i spojrzała na młodego doktora filuternie, mówiąc:

—To ja to samo uczyniłbym była powinna.

—Użycie tak dowcipnego zwrotu, sprowadziło dla szczęśliwego doktora rozmowę, z któréj tyle wycisnął, że leśniczowa z rycerzem co tyle wzniecił w nim trwogi, nie ma żadnych miłosnych związków, ale skoro tylko chciał naciągnąć rozmowę o córce zaraz krótko ucięła. Naturalnie, Oskar skłonił się łatwo do jéj życzeń, jednakże to nie mogło być przyczyną aby córki zapomnieć dla tego że matka jest ładną. Tak upłynęło mu bardzo prędko po południe a chociaż wieczór oddalił od niego miłą mu istotę, jednakże imie jéj ciągle błyszczało mu na korze topoli która ga-

datliwym szmerem powtarzała sąsiedniemu dębowi ich rozmowę.

— Wtém wrócił Edward ze swojéj wizyty doktorskiej.

— Braciszku, boska kobieta, zawołał zakochany.

Ale nienajlepiéj trafił.

— Jeżeli paroxyzm twojego szaleństwa nie prętko ustanie, to cię poszlę do łoża chorego skąd właśnie wracam, a jeżeli i tam jeszcze nie ostygniesz i nie przestaniesz twoich śmiesznych wykrzykników, to się wykwateruję, rzekł mu przybywający.

— Czoło twoje pewnieby się było wypogodziło, gdybyś nas był zastał pod dębem.

— Aby dwóch głupców widzieć nie potrzebowałem was zobaczyć.

— Edwardzie!

— Ale tak, nie cofam mojego słowa; ta kobieta jest kokietką, a ty jesteś głupcem. Czy inaczéj zamykałaby swoją córkę, tak jakby miała dwóch zalotników pod swoim dachem? Widziałeś ty tę dziewczynę.

— Dziś z rana wyjechała.

— Ha, ha! to mi bystrość. To jest bardzo

naturalnie, bo trzeba byłow spółzalotnicę z drogi usunąć aby cały tryumf sobie zapewnić. Tak się należy, pani Burg, a gdyby ci się nie udało młodego wietrznika schwycić w swoje sidła, to ci jeszcze jedna pozostaje droga.

I nie czekając odpowiedzi, wyszedł z domu zboczył z drogi za bramą i udał się w gęstwinę, gdzie dzisiaj była rozmowa między nieznajomym a panią Burg. Brakowało już tylko pół godziny do czasu przeznaczonego na schadzkę, tę chwilę na tém stanowisku przepędzić zamyślał. Nie czekał jeszcze długo, gdy postać kobieca wyszła z furtki do lasu i ostrożnie zapuściła się w gęstwinę scieszką poboczną.

— Nie zaniedbał postępować w pewnéj odległości za postacią, bo raz sobie postanowił aby przyjacielowi oczy otworzyć, nim będzie za późno, a tego spodziewał dokonać przez spodziewane odkrycie. Po kwandransie pochodu, zatrzymała się leśniczyna, — za nią bowiem wziął postać niewieścią,—pod sklepieniem gałęzistego i gęstego buku, słuchając, i patrząc na przeciwną drogę. Nakoniec po kilku chwilach natężonego oczekiwania, usłyszał dok-

tor lekkie stąpanie, a wkrótce potém kobiece tony srebrnego głosu.

— Nie czekałaś przecie długo, moja matko? odezwała się obca w tysiącznych pieszczotach do ucha leśniczyny

— Bogu niech będą dzięki że ty tu jesteś, moja Florciu, odrzekła ta troskliwie, jeszczem nigdy się tak nie obawiała jak na téj odludnéj drodze. Ciągle mi się wydawało że wyraźnie słyszę kroki ludzkie, ale skorom stanęła, i szelest ten ustawał. Zapewnie się myliłam, bo ktoby tu na téj odległéj drodze co miał do czynienia, dodała chcąc trwożliwą corkę uspokoić. Jakże ci się powodziło przez ten długi dzień moje dziécię? Tęsknota za tobą nie dała mi dłużéj pokoju, dla tego też kazałam ci tu o téj godzinie przyjść, aby ci choć dobranoc powiedzieć.

— Ah, ja spać nie będę mogła bez mojego miłego posłania i bez ciebie, rzekła żałosnym głosem córka. Czyż nie mogłabym z tobą pójść? radabym tak chętnie.

— Wiesz moje dziécię jak dalece twoje oddalenie jest potrzebném. Pan Wollreich był

jeszcze dziś u mnie i żądał bardziéj jak kiedykolwiek, żebyś przez cały czas kwaterunku była ukrytą. Z wielką trudnością wymogłam od niego widziéć cię o téj godzinie. Winnaś mu tę ofiarę.

O! ileż jeszcze nie chciałabym mu ofiarować, aby mnie tylko swojemi nielitościwemi zalotami nie chciał dręczyć ja go i tak znieść, nie mogę.

— Cicho moje dziécię, nie mów tak głośno, odpychasz twoje szczęście od siebie, nie bądź tak prędką w swoim zamiarze i wspomnij jak dawno dzierżawca z niezmordowaną cierpliwością znosi twéj upór.

— Gwałtowne łkania młodéj dziewczyny, przerwały rozmowę, która dla podsłuchającego tak zajmującą była. Z dalszych rozmów nic się więcéj nie mógł dowiedziéć jak to że damy ułożyły sobie podobną schadzkę nazajutrz o 2 po południu i na tém samém miejscu. Na głos Flory zjawiła się inna jeszcze niewiasta w towarzystwie któréj biedne dziécię powróciło. Ledwo leśniczyn opuściła okolicę, kiedy Edward pośpieszył wyśledzić drogę, którą te

dwie pielgrzymki postępowały i zarazem odkryć miejsce schronienia Flory. Ale to było niepodobném bo ciemność tak była wielka i droga tak się często krzyżowała, że Edward musiał dać wielkie baczenie ażeby sam nie zabłądził. Zwrócił się więc i przyrzekł w ciągniętemu do tajemnicy bukowi że iutro powróci na nowo oddać mu odwiedziny.

— Nazajutrz szczęśliwy doktor który wszędzie jak po własnym domu towarzyszył lubéj gosposi po oborach i piwnicach, spiżarniach i mieszkaniach, nie mógł się dość nadziwić nad przekształconym swoim przyjacielem. Spokojnie udał się do swoiéj czynności, żaden głos nieukontentowania, żadne słówko złego humoru nie wyszło z ust jego. Czasem tylko uśmiechał się skrycie, lub podskakiwał zacierając sobie ręce. Ale w miarę jak się południe zbliżało, stawał się co raz niespokojniejszym, spoglądał często na zegarek tak jakby życie ludzkie od spóźnienia jednéj minuty zależało.

— Muszę Cię na chwilę opuścić, rzekł nakoniec do Oskara, który tylko co wstał od obra-

cania pieczeni, aby się zająć innemi obowiązkami kuchmistrza pani Burg.

— Ale nie przed obiadem, odparł tenże, mamy doskonałą pieczeń na rożnie.

— Natychmiast; przyrzekłem być gdzie indziej na obiedzie. Gdyby co na mnie wypadło, to bądź tak łaskaw zastąpić mnie.

— Kolega nie wzbraniał mu dłużéj, jednakże z jego uśmiechu domyślić się można było, że go o jakąś tajemną schadzkę posądza.

— Gęsty buk był powtórnie celem pielgrzymki Edwarda, lecz dzisiejsza wycieczka była zupełnie w innym widoku, którego sam usprawiedliwić nie mógł i nie wiedział co się w nim działo.

— To jest miłość, szepnęły mu liście drzewa pod którego baldachinem trwożnie się oglądał. Zaczerwienił się jak dziewica, na podobne podszepty, i nie mógł nic stanowczego uchwycić. Nakoniec rzekł: „Dobrze, niech będzie, jeżeli źle postępuję to niech to do wspólnéj księgi moich grzechów zapiszą, których jeszcze nigdy tak nie żałowałem jak dzisiaj. I bez zwłocznie rozpoczął niebezpieczną podróż po gałę-

ziach gęstych, w których tak dobrze się ukrył, że potrzeba by wprawnéjszego oka do odkrycia jego osoby niż oczy leśniczyny i jéj córki.

— Wkrótce nadeszła ta ostatnia. Doktór Pille nie mógł się wstrzymać od mimowolnego wykrzyka. Flora Burg — Najpiękniéjsza róża wiosny — spojrzała w górę a morze roskoszy zalało mieszkańców powietrza, — bo ah! w przezroczu jéj spojrzenia malowała się najczystsza niewinność i najuroczystsza spokojność.

— Czy zdawało mi się, że słyszałam głos ludzki, a przecież nikogo nie widzę, szepnęła Flora. — Ah! gdy nas aby pan Wollreich nie zszedł, ten nieznośny, złośliwy dzierżawca.

— Milcz serce, gwałtownèm twojém biciem mogłobyś mnie zdradzić, i ah, zdradzić uczucie które wiecznie przytłumić powinnam, bo nie jest chrześćjańskie. A jednakże ustawicznie sobie powtarzam, że tego człowieka nienawidzę, któremu wkrótce więcej będę jak posłuszną i od niego tylko zawisłą ofiarę. O Boże, zmiłuj się nade mną, daj mi odwagę i siłę znieść to co jest nieodmiennėm.

— Wolne łzy stłumiły jéj głos, a doktor Pille, którego nerwy nigdy nie zadrżały kiedy stał naprzeciw śmierci, był tak rozczulony i tak do żywego dotknięty, że mimowolnie łzy jego zmieszały się z łzami dziewicy.

Wtém nadeszła leśniczyna. Wszystko naprożno! rzekła do zasmuconéj córki. Cała nasza praca i staranie były nadaremne. Nie zapytano się nawet Marty o cenę, tylko jedna żydówka była tyle ludzką że chciała dać za tę piękną robotę która nas same więcéj niż 5 talarów kosztuje.

— O, to jest okropnie, westchnęła Flora, cóż poczniesz moja matko, moja biedna matko? Czemże dłużéj tych drogich gości będziesz utrzymywała?

— Widoczna walka wewnętrzna przepowiedziała jéj następstwo tak smutnego przedstawienia i kiedy równie pani Burg smutnie przed siebie patrzała i żadnéj drogi do ratunku nie widziała, w krytycznem swojém położeniu, rzuciła się córka w jéj objęcia i rzekła: Pójdę za dzierżawcę.

— I patrzcie! zaciemniło się niebo, czarne chmury okryły horyzont, w drzewach szumiało a ciężko westchnienie: Oh! powiększyło bojaźń trwoźliwych kobiet.

— Nie, moje dziécię! nie uczynisz takiéj ofiary pocieszała ją matka, choć sama pociechy potrzebowała. Nie, tak nie! — nie pozwolę aby nędza przymuszała moje dziécię do najważniéjszego kroku w życiu. — Bóg się nad nami zmiłuje, w największéj potrzebie do niego wznieśmy oczy i pełne wiary serca.

— I zmiłował się. — Podczas gdy zapłakane i pomocy błagające oczy kobiet ku górze były wzniesione, wypogodziło się niebo, znowu zaszumiało w liściach, jasny promień się okazał i wielki pieniądz złoty spadł na łono zdumiałej leśniczyny.

Z wykrzykiem największego przestrachu odskoczyła, a pierwsza myśl jaka się jéj nastręczyła była że są zdradzone.

—Nie może być inaczéj, tylko ktoś naszą rozmowę wysłuchał, bo jakim sposobem mógłby się ten złoty pieniądz przy mnie znaleść.

— Ale Florka potrząsła głową spokojnie, u-

śmiechając się i rzekła jakby natchniona: Nie widziałaś jak serafin z powietrza zstąpił? Nie słyszałaś jak lekkim rzutem zanurzył się w gęstwiny tego drzewa? od niego ta pomoc w potrzebie, o nie powątpiewaj dłużéj.

— Szczebiotko! rzekła matka do córki, przyciskając jéj rozognionę głowę do mocno bijącego swego serca, i zaledwie śmiejąc podnieść oczy w obawie żeby zasłona która tajemnicę prawie cudowną ukrywa, nie rozdarła się i nie okazała się w nagiéj rzeczywistości, którą sama chciała swemu dziesięciu obiawić. O jakże chętnie kołysze się serce kobiety pośród złudzeń ożywiającéj fantazji, któreby nawet najsłabszy rozum odrzucił.

— Ale przypadek miał zakończyć dłuższy pobyt dam. W następującym dniu w okolicy téj miały być jakieś ćwiczenia wojskowe, w dramie tej wojennéj i lasek bukowy miał także małą odegrać role. Oficer kwatermistrzostwa jeneralnego z wielu innemi robił właśnie w dniu dzisiejszym rekonesans pozycji. Zdala już poznały kobiety głosy zbliżających się mężczyzn, a wkrótce i połysk

broni dał się im widziéć. Spiesznie zatém zagłębiły się w las, aby potém rożnemi drogami udać się do swoich mieszkań.

—Ale wiszącemu na gałęziach drzewa serafinowi nie tak łatwo to było uskutecznić. Zaledwie spostrzegł przybliżających się nowych gości, przedstawiło mu się także największe niebezpieczeństwo, bo słyszał na swoje nieszczęście, że jeden z oficerów miejsce pod nim będące przeznaczał na spoczynek w pochodzie — Do odwrotu czyli raczej do zejścia z drzewa już było za późno, a świecące guziki jego munduru, o który się promienie słońca odbijały, były dostateczne do odkrycia go. Przyzwyczajony do szybkiéj decyzji w krytycznych okolicznościach postanowił doktor Pille świetny swój salon na pokój sypialny zamienić, i wywrócił swój strojny mundur tak że ciemna potrzewka na wierzchu była. Podobny los spotkał i czapkę którą o ile tylko mógł na oczy naciągnął. W takiéj metamorfozie spodziewał się niepoznanym uczynić i w czém się w cale nie pomylił.

— Przybyli jezdcy z pułkownikiem B. na cze-

le, zsiedli z koni, i rozłożyli się w cieniach gęstych konarów, na których bojaźń wydobywała doktorowi zimne poty.

— Szkoda żeśmy téj małéj ruiny wynaleść nie mogli, która podług mojéj karty tu w bliskości znajdować się powinna, rzekł półkownik, mogła by nam za miejsce zasadzki posłużyć.

— Gdybyśmy jaki wzniosły punkt mieli w bliskości, możeby można odkryć ją, dodał inny oficer.

— W tém moja wina, trzeba mi było z okolicy wziąść znajomego tych stron przewodnika, ale za bardzo się spuściłem na dokładność mojego planu.

— Dobrzeby było żeby kto zręczny wszedł nn ten buk? Stoi osobno i jest dość wysoki, może tym sposobem doszlibyśmy do odkrycia.

— Zapewne, rzekł pułkownik, ale kto się na to odważy.

— Tam wléść, to zabawka, oświadczył się najmłodszy z oficerów, już w mojém życiu niebezpieczniéjsze przedsiebrałem podróże.

Żołnierz jeden nadstawił plecy aby zuchwałego porucznika na pierwsze piętro mieszkania naszego doktora podsadzić.

— Dotychczas już jestem, rzekł porucznik, ale daléj będzieie cokolwiek niebezpieczniéj; u licha, co to jest? tam wiszą już dwie nogi nade mną. He! przyjacielu! daleko jeszcze do szczytu? Nie ma odpowiedzi? — Tak mi się zdaje że ten człowiek za pomocą sznurka zakończył życie, aby jeszcze po śmierci miał piękny widok.

— Z kim tam rozmawiasz? zapytał się Pułkownik.

— Znalazłem towarzystwo, zawołał oficer, ale boję się oczy nie takie przy którém i sztuka doktora Pille naprożnoby czyniła doświadczenia aby odpowiedź wydobyć; bo tu się ktoś powiesił.

—Może go jeszcze można ratować! pośpiesz się poruczniku, prosił pułkownik i wszyscy śledzili wzrokiem cel wspólnej obawy.

— Żyje, zawołał znowu porucznik, właśnie posunął się o jednę gałęź wyżéj, zapewnie dla ustąpienia mi miejsca. Przyjacielu co ty tam szukasz.

— Gniazd ptasich! zabrzmiał nagle nieznajomy głos basowy.

Smieszne upodobanie! Ale czy nie zechcesz pan być tak dobrym, ustąpić mi cokolwiek swego miejsca, a moje zająć.

— Co pan chcesz wiedzieć, może będę mu mógł udzielić tę wiadomość, rzekł gwiazdo-łóca ostrym tonem,

— Ja zbieram zioła! odpowiedział porucznik.

— I ja także, rzekł znów tamten, i nie mogę mego miejsca ustąpić.

— A więc niech prawo mocniéjszego rozstrzygnie naszę sprawę zawołał oficer, i gotował się szturm przypuścić.

— Czekaj pan, czekaj! zawołał strwożony powietrzny żeglarz, który już dosiągł najwyższéj gałęzi drzewa, — czekaj pan! poddaję się i ustąpię z fortecy pod jednym warunkiem.

— Żadnych warunków, odparł napastnik, bezwarunkowo trzeba ustąpić.

— Awięc proszę szturmować, będę się bronił.

— Pozwólże mu powiedzieć ten warunek,

rzekł rozweselony pułkownik, może będziemy mogli przystać.

— Ten pan co tu jest pode mną, opuści natychmiast swoje miejsce, całe towarzystwo oddali się na strzał karabinowy, abym mógł bezprzeszkody ustąpić z pola, a ja zostawię moję fortecę do wolnego rozporządzenia; rzekł oblężony.

— Zgoda! zawołał śmiejąc się pułkownik i odstąpił na żądaną odległość z całém towarzystwem.

Strwożony doktór szybko wykonał poruszenie odwrotne i nie oglądając się pobiegł ku swojéj kwaterze, ale Nemezys wydała nań wyrok odkrycia; skoro oficerowie otoczyli pełne przypadków drzewo, porucznik znalazł w trawie puljares na ktorego zamku było wyryte nazwisko: Edward Pille.

Głośny śmiech powstał wpośród znajomych doktora, a imie iego wesołym chórem zagrzmiało wśród lasu i doszło aż do uszu uciekającego Edwarda, który mniemając że ścigają go, nie dał sobie czasu do przemienienia białego płóciennego kołnierza na mundur doktorski i z przenicowaną czapką głęboko na oczy

naciśnlętą wszedł do domu leśniczego.—Nikt go tam nie poznał, a Oskar który nie chciał pokazać się obcemu w fartuchu gospodyni, wszedł do sypialnego pokoju. Pille wbiegł za nim aby się ukryć przed mniemaną pogonią. Bez tchu rzucił się na swoje łóżko i rękami twarz zasłonił. Przyjaciel jego porwał się do szpady aby się uchronić przed napaścią obłąkanego? wtém ten powstał z głośnym śmiechem.

— Wszystkie dobre duchy chwalą pana! Edwardzie! czy to ty istotnie? pytał zdziwiony Heilhoff. W jakąż przeklętą liberję ustroiłeś się, Doktorze, ah, jak okropnie wyglądasz.

Jakbym prosto od szubienicy się urwał, odrzekł Pille, i opowiedział mu całą swoję awanturę z zamilczeniem tylko powodu jéj. — Ale nie zdradź mię, Oskarze, prosił, bo musiałbym ten figiel opłacić małém wyśmianiem. —Ta przezorność jednak na nic mu się nie przydała tym razem, — nazajutrz całe zdarzenie z wielu wesołemi przydatkami znane było między wojskowemi.

Pukanie ręcznéj broni powitało nazajutrz wschodzące słońce, w okolicy lasku bukowego.

Kolumny piechoty posuwały się z tyraljerami na przodzie ku domowi leśniczyny, osadzonemu przez strzelców, dla położenia tamy w ucieczce ściganemu nieprzyjacielowi. Doktór Pille należał do odziału który podług planu miał być pobity i cofał się z nim coraz głębiéj w las, aby z tamtéj strony na równinie obecnym być głównéj bitwie. W niejakiéj odległości postępował za kolumną i pośród tysiąca uczuć które dziś wzburzały jego serce, nie pierwéj postrzegł bliskość fatalnego drzewa wczorajszego aż kiedy okropna scena zwróciła jego uwagę przytczém i pomoc jego stała się potrzebną. Żołnierz jeden którego gorliwość uniosła zbytnie za granicę uwagi nie wydobył stępla z lufy i zranił nim jednego z swoich towarzyszy tak niebezpiecznie że ten zemdlony i krwią zlany musiał być złożony pod bukiem. Doktór Pille nie na myślał się i w mgnieniu oka rana żołnierza została opatrzoną. —Wojska manewrujące oddaliły się i litościwy lekarz widział się otoczonym kilku tylko ludźmi którzy zostali aby mu pomagać przy rannym. Biedak ten żalił się na palące pragnienie, a doktór nie mógł się spodziewać prędkiego nadejścia zażądanego powożu dla przewiezienia rannego. Wtedy jeden,

z pozostawionych żołnierzy ofiarował się przynieść wody z pobliskiego młyna, z którego przyrzekł powrócić za pięć minut.

— Jak to daleko ztąd? zapytał z wzrastającą niespokojnością doktór.

— Najwięcéj tysiąc kroków, była odpowiedź.

— Czy ten młyn jest zamieszkały?

— Tak jest, odpowiedział żołnierz.

Nie namyślając się postawił doktór swojego pacjenta tymczasowo w to miejsce przenieść. W kilka chwil sporządzono nosze, i bez zwłoki, mając na czele gorliwego lekarza, żołnierze wzięli ciężar na ramiona, aby mieszkańcom młyna podać sposobność do dobrego uczynku.

Ale jakże zadziwił się lekarz ujrzawszy przed młynem tłustego, nienawistnego pana Wollreich tyrana leśniczyny i jéj rumianéj coreczki. Ale tu nie był ani czas ani miejsce, puścić bieg myślom które tłoczyły się w głowie jego przy niespodzianém spotkaniu, i dla tego po krótkiém przywitaniu, poprzestał na poproszeniu o zawołanie pana domu.

— Mój brat wyszedł, rzekł tłusty, ale gdyby

nawet był tutaj, nie pozwoliłby zapewne zakładać szpital w swoim domu.

— To też nie jest wcale moim zam iarem, odpowiedział doktór nieprzyjaznemu gospodarzowi proszę tylko o przyjęcie na parę godzin tego rannego, który potrzebuje spoczynku.

— No to go możecie zanieść do obory, rzekł nieugięty z widoczną niechęcią, a tkliwy Pille przygryzł sobie z gniewu usta.

— Na miłość Boską nie zechcesz pan przecie żeby ten biedak zaniesiony został do tak wilgotnego miejsca, dał się w téj chwili słyszéć proszący głos. — Pille obejrzał się, — przed nim stała Flora Burg. — Chętnie odstąpię mojéj izdebki, jeśli gdzie indziéj nie ma miejsca; proszę, zanieście go tam spiesznie, pokażę wam drogę. Odsuwając pomięszanego i nieukontentowanego Wollreicha na stronę, udał się doktor za przyjemnym przewodnikiem, i wkrótce miał pociechę udzielenia spragnionemu ranionemu tak potrzebnéj mu ochłody.

O przeniesieniu go gdzie indziéj nie było co myśleć, bo gdyby nawet doktór chciał to przedsiewziąść, Flora ani chciała zezwolić na to, bo

wzmagająca się gorączka słabego nabawiała ją niespokojności. Dla doktora ciężkie godziny pierwszéj lekarskiéj pieczołowitości były najszczęśliwszemi w jego życiu, bo cel jego rozniecającéj się miłości, piękna Flora, podzielała je z nim, i rozwijała w słodkiéj niewinności swego serca tak wiele pięknych przymiotów, iż musiał błogosławić niewidzialną rękę która go prosto tu wprowadziła. Po wydaniu potrzebnych rozporządzeń, Pille opuścił młyn przyrzekając swéj pomocniczce że nazajutrz powróci zrana.

Przyjacielowi swemu, doniosł wypadek ten, nie mówiąc nic o szczęśliwém spotkaniu; wracając do domu ułożył on sobie plan którego wykonanie wymagało przede wszystkiém, najściślejszego milczenia.

Naturalnie słaby świt następnego dnia znalazł go już na drodze do młyna, i to z uczuciami które są bardzo blizkiemi nadziei. Po cichu posunął się do izby chorego i ostrożnie otworzył drzwi. Tu zaraz doznał nieprzyjemnego wrażenia, nie znalazłszy tego obrazu który spodziewał się ujrzéć; lubéj pomocniczki

nie było. Wziął się do wypełnienia swojéj powinności, i skończył robotę z chorym, nie usłyszawszy ani słowa o Florze, chociaż wszyscy mieszkańcy młyna byli na nogach. — Nie ma jej tu, zawołał smutno sam do siebie i pobiegł do młynarki, któréj zajęcie się słabym, pozwalało mu spodziewać się przychylności dla niego.

Z palcem na ustach położonym przyjęła go i po cichu, ostrożnie, zaprowadziła do pokoju.

— Właśnie chciałam iść do pana; martwiłam się o to biédne dziécię, a ponieważ z powodu pana tak się z nią obchodzę, sądziłam więc że pan...

— Mój Boże! cóż się stało, gdzież jest panna Flora, zapytał w największém wzruszeniu zakochany.

— Możesz pan sam z nią rozmówić się, tu w przyległym pokoju, ale pocichu i śpiesznie, na miłość Boską żeby mój mąż nie nadszedł; ja będę tymczasem stać na straży. — i wyszła lekko na palcach.

Drżąc zapukał Edward do drzwi wskazanego

pokoju. Otworzyły się i Flora Burg wyszła ku niemu; żywy rumieniec pokrył bladą twarzyczkę, kiedy zobaczyła przed sobą młodzieńca; — widocznie walczyła z jakiemś postanowieniem, którego wysłwić jeszcze nie mogła.

— Nasz słaby ma się daleko lepiéj, zaczął lekarz, kontent że miał od czego zacząć.

— Bogu dzięki! rzekła bardzo cicho, byłam o niego bardzo niespokojną.

— Czy nie widziałaś go pani dziś jeszcze?

— Od wczoraj wieczór, nie,—to jest od czasu jak mię tu zamknięto, odpowiedziała Flora, a strumienie łez spłynęły z spuszczonych w ziemię oczu.

— Kto to śmiał uczynić zawołał doktór, i znów ujął rękę dziewicy.

— Niegodziwy Wollreich osądził za nieprzyzwoite żebym ja miała staranie o chorym, i na jego rozkaz musiałam tu pozostać; dziś chce mię ztąd zupełnie oddalić, i tylko czeka na otrzymanie pozwolenia matki, rzekła gorzko płacząc biedna Flora.

— Nigdy tego nie dokaże! zawołał z uniesieniem Pille.

— Ah! mój Boże, on wszystko zrobi co mu się podoba, zapewniała strwożona dziewica.

— Czy on jest opiekunem pani, albo....

— Nie, nie, przerwała szybko Flora, on niczém jest dla mnie, a jednak wywiera wielki wpływ na nas. — Tu opisała tonem tak poufałym jak gdyby mówiła z dawnym znajomym, że pan Wollreich po śmierci jéj ojca kupił dom leśny, i że pozwolił mieszkać tam jéj matce za roczną opłatę. Matka jéj nie zawsze mogła regularnie wypłacać, bo jéj dochody są bardzo szczupłe, ale pan Wollreich zawsze był dla niéj względnym. Ale teraz żąda zapłacenia zaległości, albo. — tu zatrzymała się, i Pille wytłómaczył sobie to „albo„ tém co słyszał siedząc na drzewie.

— Jeśli matka moja nie dopełni jego życzenia to będzie musiała natychmiast opuścić domek leśny, który jéj tak się stał miłym, a może nawet oddać wszystko prawie co posiada

W téj chwili weszła młynarka, z doniesieniem że mąż jéj i szwagier nadchodzą.

— Będziesz ocaloną, szepnął Pille do przestraszonéj Flory, i pobiegł po wschodach do swego chorego. Ale nie długo bawił tam, bo chodziło o uprzedzenie dzierżawcy u leśniczyny, dla tego nie tracąc ani chwili udał się ku swojéj kwaterze.

— Czy był tu już pan Wollreich? zapytał zajętego śniadaniem Oskara.

— Któż to taki? zapytał tamten.

— Ten potwór, wieloryb na wielbłądzie, odpowiedział Edward.

Oskar upuścił kubek od filiżanki, i usta gotowe przyjąć smaczny płyn mokki pozostały otwarte szeroko, — bo scena pierwszego dnia przypomniała mu się natychmiast.

Edward postrzegł paniczny przestrach zakochanego kolegi i korzystał z tego, aby go utwierdzić w jego domyśle.

— Wiem dokładnie, rzekł, że pan Wollreich ma tu przybyć za pół godziny, dla otrzymania przychylnéj odpowiedzi od leśniczyny. Nie wiem

jak ty z nią stoisz, — ale sądzę że wstawienie się twoje może u niéj coś znaczyć.

Mogęż ja być adwokatem w mojéj własnéj sprawie, przerwał Oskar niespokojnie. Wiesz co braciszku, pomów ty z nią, przedstaw jej kolorami najtkliwszéj miłości moje czyste ku niéj uczucia i proś o jéj rękę, pierwéj nim przyjedzie mój rywal.

— Czy to jest prawdziwie twojém życzeniem, z radością zawołał Edward rzucając się na szyję? przyjaciela.

W téj chwili beczka heidelberska wtoczyła się na podwórze.

— Gdzie jest pani Burg? zapytał Wollreich zatrudnionéj przed domem Marty.

— Pani wyszła, odpowiedziała Marta, ale wkrótce powroci.

— Zaczekam więc, mruknął wieloryb.

W téj chwili właśnie stanął we drzwiach Edward.

— Pan tu, panie doktorze? zapytał przybyły.

— Jak pan widzisz, mości Wollreich.

— To wybornie, rzekł tłusty, mogę zaraz rady i pomocy pańskiej wezwać. W nocy oto za-

chorował mój koń, stoi tam przed bramą; czy nie zechcesz pan za dobre słowo i zapłatę, zobaczyć czego mu brakuje.

Edwardowi przyszła myśl małéj zemsty.

— Ja sam wprawdzie, rzekł wymawiając się grzecznie, nie jestem konowałem, ale mój kolega bardzo dobrze leczy zwierzęta. Czy zechcesz pan powierzyć mu swego szlachetnego rumaka?

— To mi wszystko jedno, byleby został wyleczony, odpowiédział flegmatycznie Wollreicht.

— Powiem otém memu koledze, rzekł Edward i wszedł do pokoju.

— Słyszałem wszystko zawołał Edward z komicznėm nieukontentowaniem, i jestem bardzo wdzięcznym za twoje polecénie. Ale przyśléj mi tu tego grubego mazgaja, nauczę go w moment jak odróżniać doktora medycyny od konowała.

— Proszę! zawołał Edward otwierając drzwi i wepchnął dzierżawcę do pokoju.

Heilhoff siedząc przy biórku przybrał niezmiernie poważną minę i nie spojrzał na wchodzącego.

— Mój Hektor cierpi od wczoraj na żołądek, zaczął Wollreich, i chciałbym żebyś go pan obejrzał.

Oskar spokojnie pozostał na swojém miejscu nic nie odpowiedział.

— Czy przyjaciel pański niedosłyszy, zapytał zdziwiony dzierżawca swego od wczoraj znajomego?

— Ah! przepraszam po tysiąc razy, zapomniałem powiedzieć panu że kolega mój ma słuch bardzo tępy.

— Czy nie chcesz pan, zawołał teraz z całego gardła zwiedziony dzierżawca, zająć się moim chorym koniem, który jak mi się zdaje *przeładował* się *trawą turecką*.

— Co? zapytał Edward nadstawiając ucha pan chcesz *darować* mi *fajkę turecką*? Obowiązany bardzo, ale nie palę tytoniu i podarunek ten na nic mi się nie przyda.

— Ale ja nie mowię o fajce, tylko o moim koniu, który za nadto jadł *trawy*! powtorzył tłusty z największém wysileniem płuc.

— Aha, rozumiem! nie krzycz pan tak bardzo, ale nie lubię *kawy*, i fajki nie palę.

— Nie rozumie wcale, zmiłuj się panie doktorze, wytłómacz mu moje żądanie.

— Pan Wollreich mówi o słabości, krzyknął wesoły Edward w ucho mniemanego głuchego.

— Słabości! powtórzył Oskar i jak błyskawica porwał się od biurka, wykręcił krzesło i usiadł twarzą do tłustego dzierżawcy. Proszę siedzieć, czemuż pan dobrodziéj zaraz tego nie powiedział. A więc pan jesteś słaby, proszę pokazać mi język.

— Ale ja nie jestem słaby, tylko mój koń.

— Ah! to okropne boleści! słaby jak koń. Tak, tak, jesteś bardzo słaby, puls to okazuje.— Zaledwie da się uczuć jego bicie, apoplexja bliska — prędka tylko pomoc może go ocalić.— krew trzeba uatychmiast puścić — bezwątpienia zgniewałeś się pan wczoraj — potém co kolwiek smutku; — To mówiąc wydobył czerwony bandaż i lancet, i z zupełnie poważną miną przygotował się do operacji.

Wtéj chwili strwożony Wollreich powstał i zaczął wołać. — Potwarz! kłamstwo! jak mo-

że konował znać się na pulsie u ludzi! Nigdy w życiu nie byłem zdrowszym jak w téj chwili.

Ale niezachwiany lekarz nie dał się zmieszać, z taką siłą zmusił grubego dzierżawcę do zajęcia znowu krzesła, że zepsute niece krzesło złamało się, a Wollreich upadł na ziemię. Nim zdołał podźwignąć się, zdjęto mu gwałtem surdut, obnażono rękę a lekko przyłożony lancet otworzył żyłę, i krew wytrysła aż na biały sufit komnaty. — Jęcząc jak biedna ofiara pozwolił już na wszystko co się odstać nie mogło, prosił tylko aby go wygodniéj umieszczono. Z pomocą obu lekarzy usiadł na krześle i boleśnie zachmurzonym wzrokiem patrzył na upływającą na talerz szlachetną krew swoję.

— Czy jeszcze nie dość, jęknął widząc już pełny talerz.

— Jeszcze tylko z półtora funta, a będziesz pan mógł wybornie oddychać.

— Mój Boże, nigdy nie zbywało mi na tém, rzekł biedny Wollreich, blednąc co raz bardziéj.

Edward skinął na swego kolegę i w jednéj chwili rana została podług wszelkich przepisów opatrzoną i obandażowaną.

— Niebezpieczeństwo już minęło, pocieszał Oskar wpół zemdlonego dzierżawcę, teraz tylko jeszcze proszek z emetykiem.

— Na miłość Boską, jestem zdrów jak ryba, nie chciejcie panowie robić sobie subiekcji.

— Nic nie szkodzi, odpowiedział doktór, a przytém proszek już zrobiony, przecież nie mogę wyrzucić go za okno.

— To chciéj go pan dać memu forysiowi, on jest także chory tak jak ja — żelazo by strawił — kiedy ja mogłem stracić półtora talerza krwi za mego konia, słusznie byłoby żeby mój woźnica za mnie proszek zażył.

Doktor nie nalegał dłużéj, ale starał się dowieść zdrowemu pacjentowi, że przede wszystkiém ciągła spokojność potrzebną jest dla jego zdrowia. Drzémiący dzierżawca przystał na wszystko, ale jak najspieszniéj pożegnał się i wyszedł aby wsiąść na swego chorego Hektora.

— Słowo jeszcze, rzekł zatrzymując go Edward, chciałbym jak najprędzéj mego rannego tu sprowadzić z młyna, a że pan dozwoliłeś mu tam przytułku, chciéj pan parę wyrazów napisać, aby brat pański kazał go moim posłańcom wydać.

— Nie potrzeba tego zupełnie, rzekł Wollreich, ale jeśli pan chcesz, napisz tylko bilet a ja go podpiszę.

Edward napisał spiesznie; ,, Oddawca upoważnionym jest do zabrania z sobą.... Wtém miejscu miało być imie rannego żołnierza, którego Edward jak mówił nie mogł sobie przypomnić w téj chwili, a Wollreich bez wachania podpisał poniżéj swoje imie. Ale zaledwie obaj przyjaciele z wielkim trudem wsadzili go na jego wielbląda, Edward porwał pioro i w pustém miejscu wpisał imie miłego grenadjera, który bez prochu i bagnetu zdobył jego serce.

— Teraz spieszę do mego chorego; jeśli z twojéj gwałtem wykonanej operacji chcesz mieć korzyść, skreśl natychmiast traktat małżeństwa i przypieczętuj go pocałowaniem two-

jéj damy, jako zezwoleniem, rzekł Edward odchodząc do zamyślonego i smutnie za nim spoglądającego przyjaciela.

— Lepiéj byłoby gdybym nie był puszczał krwi temu wieprzowi, rzekł Oskar, obawiam się.

— Przecież nie złych skutków twego pospiesznego leczenia.

— Oh nie, bo przed całym światem gotów jestem dowieść że to puszczenie krwi było koniecznem.

— A więc czegóż?

— Obawiam się żeby Matylda — chciałem mówić pani Burg, nie przeniosła bogatego wieloryba nad biednego chirurga kompańji, — a wtedy Edwardzie już się nie zobaczemy.

— Jeśli nie więcéj, to bez pożegnania, odpowiedział lepiéj świadomy rzeczy Pille, i wybiegł spiesząc do szczęścia.

Brat dzierżawcy młynarz Wollreich, wtajemniczony do jego planów, nie śmiał wierzyć oczom swoim, zobaczywszy bilet podpisany przez swego brata, ale przywykły uznawać jego powagę, nie sprzeciwiał się żądaniom doktora, który na skrzy-

dłach niecierpliwości pobiegł uwiadomić lubą uwięzionę o zmianie jéj losu.

Ale Flora któréj serce od pierwszego spotkania odpowiedziało uczuciom przyjemnego doktora, nie pomału jednak zmięszała się i była w kłopocie względem sposobu jakim ma się po wierzyć tak bezwzględnie człowiekowi nie znanemu. Ale co nie udało się jego przełożeniom i wstawieniu się własnego jéj serca, to dokazała bojaźń jaką przejmowało jéj duszę wsponmienie Wollreicha, i nakoniec zezwoliła na oddalenie się, kiedy młynarka pozwoliła córce swojéj towarzyszyć młodéj parze.

Podczas tych wypadków w młynie inne niemniéj bez wątpienia ważne miały miejsce w domu leśniczyny. — Zaledwie pani Burg wróciła z przechadzki, kiedy Oskar zażądał u niéj posłuchania.

— Przychodzę, rzekł tonem uroczystym i z pomięszaną prosto-lińjową postawą, — przychodzę pomówić z panią w sprawie nieopisanie ważnéj, łaskawa pani Bourg.

— Przecież nie ma nic okropnego! Ah! mój Boże! przerwała mu szybko gospodyni, zmieszana tak nie zwykłą powagą swego komornika.

— Jak pani zechcesz to przyjąć, bo mówię krótko i otwarcie, — oto pan Wollreich był tutaj.

— Ha, ha, ha! rzekła gospodyni, jeśli nic więcéj, to nie masz się pan czemu dziwić; bo wizyty pan Wollreich są dość częste.

— Smiech pani okazuje albo zupełną obojętność albo nie skrytą ale otwartą radość z tych odwiedzin.

— O! pierwsze, pierwsze! zapewniała gosposia.

— A więc jestem najszczęśliwszym człowiekiem! więc pani nie kochasz tego tłustego bogacza.

— Mój Boże! skądże panu to pytanie?. Jedynie zobowiązanie względem niego i inne względy stanowiły między nami niejakie stosunki.

Niespokojnie chodził Oskar w tę i ową stronę. Rumieniec nadziei i bladość trwogi zmieniały się ciągle na jego twarzy, i długo napróżno szukał wyrazów do ulżenia burzy swego serca. Nagle dobył z kieszeni puljares z narzędziami chirurgicznemi i rzekł z cicha.

— Tu widzisz pani całe mienie biednego le-

karza,—źródło jego zadowolenia i skromnych żądań. Nic więcej na świecie nie jest mojém, prócz tego co zapomocą tych instrumentów i moich nie wielkich zdolności zarabiam. Chcesz że pani podzielić ze mną to szczupłe mienie? Oto składam ci moje serce, które już dawno do ciebie należy. — Więcéj nie mógł Oskar mówić, uczucia jego zwyciężyły siłę męzką, i zakrywając twarz przykląkł przed zdziwioną i wzruszoną wdową. Po długiéj pauzie obostronnego milczenia, pierwsza pani Burg zebrała tyle siły że mogła przemówić:

Wyrażenia twoich myśli i uczuć, są tak szlachetne, drogi przyjacielu, że więcéj mię pociągają niż najognitsze wyrazy. Ja także nic nie posiadam oprócz doświadczonéj, tkliwéj przyjaciołki — mojéj córki. Szczęście mojego dziécięcia jest mojém szczęściem — jeśli to szczęście może być powiększoném przez związek z tobą, chętnie przyjmuję podana mi rękę.

Tu opowiedziała niecierpliwie słuchającemu Oskarowi, to co czytelnikom naszym pod względem stosunków między panem Wollreich i lubą Florą już jest wiadomém.

— Moja córka, tak kończyła pani Burg, nie czuje żadnéj skłonności do dzierżawcy, i postanowiłam nie przymuszać jéj serca; ale przez to biorę ciężkie zobowiązanie, — staranie o nas, którego nie wiem czy mogę ci narzucać.

— Ah, pragnę być prawdziwym ojcem Flory, zapewniał Oskar. — Błagam, nie chciéj stawiać tak słabéj przeszkody memu sercu. — roztrzygnij natychmiast.

— Dobrze, pobiegnę natychmiast do mojéj córki i z nią razem prosić będę Boga aby mię oświecił.

Nie mamy potrzeby mówić, że Oskar towarzyszył swojéj ulubionéj w drodze do młyna.

W milczeniu szli smutną ścieszką wśród ciemnego lasku, oboje zajęci swemi myślami. — Pani Burg im bardziéj zbliżali się do miejsca, gdzie wszystkie jéj uczucia przed kilku dniami takiego wzburzenia doznały stawała się co raz niespokojniejszą. Z wątpliwą niecierpliwością patrzyła na miejsce pod cienistym bukiem.

Matko, droga moja matko! ozwał się dobrze znany głos i matka z córką rzuciły się w swoje objęcia. — Dwaj przyjaciele stali na przeciw siebie. Obaj zbyt przepełnieni szczęściem i nie zdolni mówić.

— Jakimże sposobem znalazłeś się tu w towarzystwie tego pana? zapytała troskliwa matka przerywając milczenie.

Wtedy wystąpił Edward, i z czułością jakiéj nigdy nie widział w nim Oskar, przedstawił historję ostatnich dni, któréj świadkiem był niespodzianie. A kiedy opisał w lekkich rysach scenę pod drzewem i zdziwionych słuchaczy stamtąd poprowadził do młyna i wspomniał o słodkiém politowaniu Flory nad biednym rannym; kiedy w żywszym coraz opisie, serce młodzieńca w szlachetnéj prostocie ukazało im się jak otwarta księga przyrodzenia, oczy matki i córki wzniosły się ku niebu. — Słońce znowu uśmiechało się przyjaźnie witając ich z pośród obłoków, a lekki wietrzyk zaszeleścił w liście drzewa i razem z matką niósł słowo błogosławieństwa, kiedy silnie

wzruszony Edward ujął rękę dziewicy prosząc o nią.

Możnaż mu było odmówić? Ręka matki pobłogosławiła związek serc szczęśliwych kochanków.

— Mogęż się teraz spodziewać? zapytał zaledwie dosłyszany, ale tak luby głos, zwracaeając się do leśniczowy.

— Jestem twoją, cicho wymowiła wdowa, i po uroczystém milczeniu nastąpiła głośna radość.

Nazajutrz przybył do domu pani Burg, dzierżawca Wollreich *en grand tenu*.

— Słówko sam na sam, rzekł do wychodzącej przeciw niemu wdowy.

— Dla tych panów, nie mam żadnéj tajemnicy, są to przyjaciele domu, rzekła pani Burg, odprowadzając do pokoju wystrojonego wieprza.

— Oddalenie się panny Flory z domu mojéj bratowéj sprzeciwia się wszelkim zasadom moral....

— Mości panie! przerwał Edward.

— To jest, chciałem mówić, jeżeli matka wiedziała o tém, to... Ale w końcu mam do tego prawo, bo spodziewam się że dziś jeszcze ręka panny Flory do mnie nale...

— Za późno! przerwał znowu Edward, bo ręka panny Flory już do mnie należy.

— Ha,.. ha,.. byłem tego pewny wyjąknął straszliwie przerażony dzierżawca, dawno już widziałem.. i dla tego przybyłem tu dziś aby zyskać ojcowskie prawo do niéj. Pani Burg stosowną jest dla mnie partją.

— Za późno! zawołał Oskar, ponieważ te prawa jnż ktoś uzyskał.

— Głuchy konował! zapytał pogardliwie dzierżawca; winszuję pani konowałowa.

— Za późno! odpowiedziałn wdowa, mój narzeczony jest od dzisiaj lekarzem bataljonowym. — cieszyć się pan będziesz z nami bez wątpienia z tego powodu.

— O, tak, tak bezwątpienia! widzisz pani jak się cieszę, rzekł rozgniewany dzierżawca, biorąc za kapelusz? Za godzinę przyjdę porachować się z panią względem mojej należności.

— Za późno, zawołał znowu Oskar. Rachunek pański gotowy i oto pieniędze, chciej pan tylko pokwitować!

— Przeklęcie! czyliż wszystko dla mnie dziś będzie za późno, zawołał wsciekły prawie dzierżawca wychodząc.

— Popraw się pan, bądź poczciwym, to nigdy nie jest zapóżno; odpowiedzieli obcy przyjaciele, — ale my którzy znamy dalsze wypadki, musiemy raz jeszcze powtórzyć: Za późno! — bo dzierżawca nie poprawił się, i nie został uczciwym człowiekiem.

KOLEDZY SZKOLNI.

W lecie 1837go roku, kilku młodych ludzi w wieku od dwudziestu ośmiu do trzydziestu lat, obsiadłszy stół w kawiarni paryskiéj i spijając sorbety z rumem, winszowali sobie wzajemnie licznego zebrania, które z powodu

ich rozmaitych stosunków, rzadziéj niżby sobie tego życzyli zdarzać się mogło.

Była już blisko 9ta godzina, piękna pogoda sprzyjała przechadzce, był to także dzień przedstawienia opery, sami więc byli w kawiarni, a tak bez przeszkody oddali się zwierzaniom wzajemnym.

— Wyznać wypada, mówił jeden, pan Ernest de Montbrun, którego czarne wąsy i sztywność w poruszeniach, zdradzały wojskowego, — że miłą jest rzeczą być w szkołach; nie dla tego to mówię żebym zbyt szacował wychowanie publiczne, lub owe szpargały greczczyzny i łaciny, któremi nas zarzucano, ale dla kolegów.

— Tak jest, odrzekł drugi, Paweł Vitaud, którego po wytwornym ubiorze, żabotach starownie ułożonych, a szczególniéj po fałdach koszuli, uznać można było za biuralistę, tak jest, dla kolegów. Jakoż jest tu nas czterech, którzy zapoznawszy się w szkołach od dzieciństwa, dzięki obecnemu zdarzeniu, będziem się wspierać i pomagać sobie wzajemnie; a nie kolegując mogliśmy być nieprzyjaciołmi.

Po tém przyjacielskiém wyzwaniu, nastąpiły

serdeczne rąk uściskania, a pan Gustaw d' Albois pod-prefekt za urlopem bawjący w Paryżu, odezwał się temi słowy.

Pominąwszy że my wszyscy winniśmi obecne nasze położenie i nadzieje przyszłego losu, temu świętemu koleżeństwu, ktore zaczyna się z dzieciństwa, a w grobie się kończy; gdybyśmy nie byli ty a ty z Jaśnie oświeconemi i Jaśnie Wielmożnemi, bylibyśmy dotąd aplikantami, a ty Montbrun byłbyś zaledwie podporucznikiem, w szwadronie którym dowodzisz.

—Hola! rzecze Montbrun, radziemy o nas trzech a zapominamy o Lussym, któremu to święte koleżeństwo w niczém nie pomogło, nie jest bowiem umieszczonym ani w armji ani w administracji aui w sądownictwie.

— Z kąd to wiesz? odrzekł Lussy.

Założyłbym się, rzecze biuralista, że ma wkieszeni rozkaz mianujący go prefektem, lub rzeczywistym radcą stanu.

Wcale nie, przyjacielu, rzecze Lussy, lecz to pewna że winienem moje szczęście jednemu z towarzyszy szkolnych, który nie jest ani JOświeconym ani JWielmożnym, ale złodziejem.

— Złodziejem?! zawołali wszyscy.

— Bez żartów? mój Lussy.

— Wcale nie żarty, jest to w istocie.

— Jakto, mamyż między szkólnemi towarzyszami złodzieja?

— Niestety, tak jest, rzekł Lussy, przynajmniéj nim był przed dwoma laty i to się bardzo przyłożyło do mego szczęścia.

Musisz nam to opowiedzieć Lussy.

— Chętnie, przypominacie sobie Piotra Germont.

— Jakżeby nie, mały, krępy, blondyn, którego Montbrun zawsze bił i żartował sobie z niego.

Właśnie ten mały, krępy, wyrosł na wysokiego, pięknego mężczyznę, siły Herkulesa.

— Był bardzo przystojny, w istocie, rzekł Montbrun.

— Teraz, dodał Lussy, będę wam mówił o sobie. Utraciłem matkę dzieckiem jeszcze będąc i kiedy po wyjściu ze szkół wróciłem do Nantes, gdziem się urodził, zastałem konającego ojca, który mi prócz swego przyjaciela, pana Ferand, bogatego kupca, nic nie zostawił. Był on ze mną przy śmierci ojca, ktory mnie jem

polecił. Pan Ferand zabrał mnie do siebie i umieścił w biurze. Tam dowiedziałem się że Horacy i Wirgiljusz byli do niczego, mówiąc po handlowemu, miasto ich radzono mi uczyć się Barema, ja zaś wołałem zajmować się młodą i piękna panną Amelją Ferand, która jednocześnie z mojém wyjściem ze szkół opuściła pensję; do niej przywiązałem się z znamionującym pierwsze namiętności zapałem młodzieńczym i wkrótce przekonałem się o wzajemności. W naszéj prostocie sądziłem wraz z Amelją, że nasze położenie było zwykłem i że jéj ojciec byłby szczęśliwym łącząc nas, kochaliśmy się bowiem a byliśmi młodzi i urodni, cośmy też sobie wzajemnie powtarzali; lecz mieliśmy do czynienia z człowiekiem nieugiętym. Skoro Pan Ferand dowiedział się o méj miłości, przywołał mnie i mówił głosem oziębłym, niszczącym wszelkie omamienia i namiętności choćby najżywsze. Wać Pan posiadasz dom o milę od miasta, z kilku morgami ziemi, ktory nie przynosząc grosza przychodu, jest raczéj ciężarem jak własnością; pojmujesz więc że nie możesz dążyć do pierwszych partji w Nantes, nie wypadałoby więc, co i sam pojmujesz, korzystając z moich dobro-

dzjestw, uwieść moją córkę, łącząc ją małżeństwem niestosownem.

Ja przeznaczam Ameljię jéj kuzynowi a synowcowi memu, Oliver, który równie jak ona jest majętny.

Bo w Nantes moi panowie równie jak i w innych miastach Francji, pojmują tylko miłość w teatrze lub romansie, lecz w stosunkach towarzyskich przyzwyczaili się tak mało na nią rachować, że w nią nie wierzą, uważają ją jako podrzędne uczucie, a jeżeli jaki ubogi młodzieniec, jakim ja byłem, zachwycony zostanie wdziękami bogatej dziedziczki, nie wierzą w jego miłość, szukając zawsze korzyści, tak przynajmniéj powiedział mi p. Ferand z pogardliwą oziębłością, która nachwilę przytłumiła moją miłość, zostawiając miejsce obrazie.

A więc mości panie, rzekłem mu, jedyną wadą w twojéj córce jest majątek i dla tego mam się jéj wyrzec. Rozeszliśmy się po téj krótkiéj rozmowie, któréj skutkiem było przyspieszenie zamęźcia Amelji.

Olivier Ferand nie opuścił ani na chwilę domu, ogłoszono zapowiedzi, kupiono wyprawę, wszystkie pokoje zarzucone były szalami, sukniami jedwabnemi, zasłonami koronkowemi, potém przynie-

siono szlubny koszyk, zawierający kosztowności któremi hojność pana Olivier obdarzała przyszłą małżonkę.

Mówiłem wam że zamieszkiwałem dom pana Ferand, w wieczór w którym miano podpisać ugodę ślubną, było mi nie podobna zostać w tym domu; ojciec Amelji pozwolił mi przepędzić noc i dzień następujący w owym domu o milę od Nantes, który grosza nie przynosił dochodu. Przed wyjazdem wszedłem do jednéj kawiarni, usiadłem przy stoliku, i oparłszy głowę na ręce rozmyślałem nad nieszczęśliwą miłością, przejęty niepojętym smutkiem; wtem czuję lekkie uderzenie w ramie; był to Piotr Germont. Wysoki, pięknie zbudowany, ubrany z wytwornością paryzką, uśmiech objawiał się na jego ustach a w wejrzeniu była pewna śmiałość, środkująca między odwagą a junakierją.

To ty, Lussy, rzecze ściskając mnie, ileż składam dzięków losowi sprowadzającemu mi towarzysza szkolnego.

Ale cóż u Boga taki smutny, nie jestżeś szczęśliwy, mój przyjacielu.

Opowiedziałem mu moją miłość, mówiłem iż w téj chwili podpisują ugodę małżeńską téj, która

kocham z współzawodnikiem, powiedziałem mu jéj imie, jej stosunki majątkowe jako i narzeczonego, wspomniałem mu także w jakiem ustroniu zamierzam noc przepędzić.

— Kochaż cię ona? zapytał.

— Równie jak nienawidzi tego którego poślubia.

— Czemuż nie wykradniesz jéj.

— Wykradzenie! społeczność nie wybaczyłaby mi tego.

— Społeczność? odrzekł mi z szyderczém uśmiechem; pani okrutna i pogardliwa, która cię nogą odpycha za najmniéjsze zaniedbanie jéj przywidzianych obowiązków? lecz przynajmniéj możesz się pojedynkować ze spółzawodnikiem.

Niepodobna! pojedynek miałby dla mnie skutki okropne, przyszły małżonek jest krewnym pana Ferand, miałżebym wejść w rodzinę zbroczony krwią jednego z jéj członków.

— Jeżeli tak, rzecze mi, znoś zniewagę, zniwecz namiętność w twojem sercu i poddaj się

męczarni być świadkiem szczęścia współzawodnika twego.

— Ah sądzę iż tego nie przeżyję, rzekłem mu ze łzami.

Wtenczas ścisnął mi rękę, i mówiąc do siebie przypomniał dawną naszą przyjaźń, zwyczaj który miałem dzielenia się z nim papierem, piorami i moją kieską studencką. — Pomagałem mu w szkolnych zatrudnieniach, broniłem go od natarczywości kolegów, od ciebie Montbrun; wszystkie zdarzenia dziecińśtwa naszego odbiły się w jego pamięci, potém powstał i rzekł mi.

Nie, nie, to nie nastąpi, bądź zdrów!

Wyszedł z kawiarni z taką prędkością iż zdawał mi się niknąć jak cień. Skoro wyszedł, mężczyzna który dawniéj służył u mego ojca, a o którym wiedziałem że był następnie w policji, zaczepił mnie z pokorą: Wybacz mi panie Lussy, moję przymuszoną ciekawość, znasz pan tego jegomości który wychodzi z kawiarni.

— Zapewnie.

— Zowie się le Prince.

— Wcale nie, jest to mój kolega szkolny, który zupełnie inne nosi imie.

Wyszedłem aby zakończyć rozmowę która mi się nie podobała, i udałem się ku memu domkowi, pełen rozpaczy zapomniałem o Piotrze Germont.— Czas był nieprzyjemny, czarne chmury rozwijały się nad moją głową, a wszystko zapowiadało burzę letnią, które w Bretańji są tak prędkie i gwałtowne. — Gdym dochodził, deszcz zaczynał padać; przymuszony sam sobie usługiwać zapaliłem lampę zawieszouą nad kominem, rozłożyłem ogień, a wtenczas porównywałem sobie przeznaczenie Germonta i moje. Nic mi o swoim majątku nie wspominał, lecz zdawał się być bogatym i szczęśliwym, gdy mnie wszystko opuszczało, wszystko, nawet miłość. Wpadłem w stan odrętwienia którego następstwem jest strata wszelkiéj nadziei, a wyszedłem z niego aby rozmyślać o samobójstwie. Przypatrywałem się pistoletom zawieszonym na ścianie méj komnaty oglądałem nabój i zamierzałem iść na skałę, połączyć moje ostatnie tchnienia z szumem burzy; znagła uderzają we drzwi gwałtownie, rzucam broń którą trzymałem w ręku i otwieram; mężczyzna z naczernioną sadzami twa-

rzą składa w moje ręce Amelję omdloną; zamyka drzwi i usłyszałem turkot powozu łączący się z szumem deszczu i odgłosem piorunów.

To była Amelja, Amelją miałem w mojém ręku, ta młoda dziewica którą przed chwilą kochałem bez nadziei, była w mojéj mocy, u mnie, sama, w miejscu odludném, śród nocnéj burzy. Posadziłem ją na jedyném mojém krześle przed ogniem, rozgrzewałem jéj zmoczone nogi i zlodowaciałe ręcę, wkrótce przyszła do przytomności a jéj przestrach przeminął skoro mnie u swych nóg ujrzała. O! Ameljo! rzekłem jéj, jakim cudem jesteś mi powrócona, w chwili kiedym cię miał na zawsze utracić? Opowiedziała mi smutne zdarzenie u jéj ojca: kiedy pan Ferand, jego synowiec i dwaj świadkowie mieli z notarjuszem podpisać ugodę małżeńską, i kiedy w pokoju w którym byli zebrani rozłożona była wyprawa i bogate podarki pana Olivier, pięciu zbrojnych ludzi wpadło do pokoju, a w oka mgnieniu pan Ferand i jego przyjaciele byli związani, a usta im zakneblowano, wyprawa i podarki zniknęły, najsilniéj-

szy z rozbójników porwał Amelją zaniósł ją do powozu kt óry wnet ruszył cwałem i wszystko to działo się z taką szybkością, że nie uczyniło wrażenia na ulicy którą pan Ferand zamieszkiwał. A melja spostrzegła się w powozie między dwoma złodziejami.

Pani, rzecze do niéj jeden z grzecznością niezwyczajną jego profesji, jedziemy do Paryża, nie chcąc jednak byś się znajdowała w tak złém towarzystwie jak nasze, wysadzę cię w pierwszym lepszym domu, znajdziesz tam zapewnie osoby które odprowadzą panią do jéj ojca; celem tego wykradzenia była potrzeba przeszkodzenia jéj krzykom, mogącym zaszkodzić naszemu działaniu, a nie chciałbym tak pięknych ust kneblować. Mimo to zapewnienie Amelja zemdlała jakem wam mówił; w kwandras po tém była w mojém ręku; uwielbiałem tych śmiałych złodziei którzy mi tę zdobycz składali, któréj im pozazdrościć mogłem. Pomimo życzeń Amelji niepodobieństwem było wracać do Nantes; burza się przedłużała, deszcz się wzmagał, wypadało więc pozostać w miejscu aż do dnia następnego.

Co za noc dla kochanka! przecież nie zapo-

mniałem com winien sobie, Amelji i panu Ferand, w obecném położeniu przewidywałem jego następstwa. Nazajutrz deszcz ustał, niebo się rozjaśniło, wszystkie kwiaty letnie podniosły swe zmoczone główki, a po owéj kwiecistéj drodze odprowadziłem Amelję do Nantes.

— Wiecie iż na prowincji nie ma rzeczy obojętnych dla znajomych sobie mieszkańców. Całe miasto podziwiało się widząc mnie o siodméj rano z panną Ferand, a ponieważ nie wiedziano o zdarzeniach wczorajszych, sądzono, że jéj ojciec zaniechał zaślubienia jéj z panem Olivier aby oddać mi jéj rękę. Znaleźliśmy pana Ferand w nadzwyczajném wzruszeniu, słusznie obawiał się o swoję córkę, a bojąc się rozgłosić to zdarzenie nie śmiał przedsiewziąść poszukiwań, ani zwierzać się nikomu. Amelja opowiedziała mu z prostotą co się działo, a na ten czas rzekł mi z prawością za którą mu wdzięczny jestem.

— Przypadek wszystko zdziałał, mości panie, lecz potrzebowałem na to dowodow, które mam obecnie w skradzeniu bogatego koszyka ślubnego; dziękuję ci za odprowadzenie mi córki.

Jednakże rzecz ta nie mogła pozostać tajemnicą; pan Olivier Ferand udał się do policji by od-

zyskać swe djamenty, a w krótce całe Nantes wiedziało, że pewien, nazwiskiem Le Prince, który od ośmnastu miesięcy utrzymywał żandarmerję w czynności, odznaczył się śmielszą jeszcze kradzieżą niż poprzednie; jemu przypisywano że wykradł pannę Ferand i złożył ją u mnie gdzie też noc przepędziła. Te czyny były prawdziwe lecz naturalnie powiększane i opowiadane z złośliwością, tak iż w przeciągu tygodnia całe miasto Nantes uznało mię za szczęśliwego kochanka panny Amelji Ferand. Zaprzeczania zaś i zaklęcia moje uważano za wskazówkę zmuszonéj prawości, a moi najlepsi przyjaciele mówili mi z uszczypliwością prowincjonalną:

— Daj sobie pokój, nie jesteś tak głupim.

Pan Olivier Ferand bezskutecznie udawał się do policji; nie znaleziono nigdy ani djamentów ani złodziei. Banda Le Prince którą oskarżono bez dowodów, znikła całkowicie; nigdy pan Ferand nie mógł zdecydować synowca swego do poślubienia Amelji. Pan Olivier wiedział że jego krewna kochała mnie, a nie chciał zaszczycić mnie wiarą w moję szlachetność. Po tém zdarzeniu nie można było myśléć nawet o zaślubieniu Amelji w Nantes, ona nawet nie przypuszczała te-

go; wtenczas pan Ferand przypomniał sobie że był najlepszym przyjacielem mojego ojca, poznał we mnie wiele pięknych przymiotów, miałem zdolności które mi zapewniały świetną przyszłość, jego córka kochała mnie a łącząc mięz nią dopełnił obietnicy jaką uczynił memu konającemu ojcu. Poślubiłem więc Amelję; gdym odchodził od ołtarza ktoś nieznajomy oddał mi list którego wyrazy tkwić mi będą zawsze w pamięci.

„ Bądź szczęśliwym mój przyjacielu, nie potrafisz nigdy tyle być szczęśliwym ile ci życzę, pamiętaj o mnie i że mnie winieneś tę którą kochasz, a wspominaj bez zgryźliwości twego dawnego kolegę.

Piotr Gremont zwany.

Le Prince.

A mój Boże, zawołał podprefekt Gustaw d'Albois więc to on był! Ha, gdyby chciał praktykować w moim okręgu musiałbym choć z przykrością wysłać za nim żandarmerję.

Nie troszcz się, rzekł Lussy, Gremont złożywszy u mnie Amelję nie udał się jak mówił do Paryża, lecz pojechał do Hawru zkąd morzem popłynął do stanów zjednoczonych.

Oddawna porzucił swoje szkodliwe rzemiosło, przedaż kosztowności pana Olivier posłużyła mu do rozpoczęcia handlu na którym zrobił majątek. Przed dwoma miesiącami mój kuzyn Olivier otrzymał wartość swoich djamentów i dowiaduję się że kilka innych osób okradzionych przed laty odebrało rozmaite wynagrodzenia za swoje straty.

Doprawdy? więc został uczciwym człowiekiem! zawołał biuralista.

Tém lepiéj rzecze Montbrun; niech żyją szkólni koledzy J. O. J. W. — i złodzieje.

Kiedy nas żenią i poprawiają się, dodał Lussy.

BAL MASKOWY

MIESZCZAN W PARYŻU

Obraz E. Scribe.

W karnawale otrzymałem następujące zaproszenie: „p. M... ma honor zaprosić pana na Czwartek wieczór; dla lubowników fortepianu i skrzypców, oba instrumenta będą przygotowanemi; można być w maskach, lub bez ma-

sek, a na rozweseleniu i zabawie nie braknie. Dwa pasztety zakończą zabawę wieczorną, kto się spóźni ten nie będzie jadł wieczerzy.

Szczególne te zaprosiny i nazwisko gospodarza wieczerzy, skłoniły mię abym bez namysłu na nie pospieszył. Był to sobie kawaler marcowy który z majątku swego wygodnie się utrzymywał, od dawna już porzucił wszystkie interesa i myślał tylko o samych zabawach. Lubił świat i artystów, bo w ich towarzystwie najmiléj przepędzał nudne życia chwile. Kiedy zaprosił jakie towarzystwo, starał się wszelkiemi siłami aby każdy bez przymusu bawił się jak najlepiéj. Do tego łączył szczególną chęć być dowcipnym, chociaż jego żarty i psoty nie zawsze się udawały; ale wszystko to utwierdzało mnie w mojém postanowieniu, bo pewny byłem że gospodarz cóś nowego musiał wymyślić aby swoich gości rozweselić. Szło tylko o mój ubiór. Mamże wziąść maskę charakterystyczną? Ale do téj trzeba mieć role i do końca ją odegrać, słowem trzeba wszystkich bawić. Wolę więc być widzem jak aktorem i okażę się bez maski.

Otóż i dom zabawy a nie widzę ani stosownego oświetlenia, ani straży przy wejściu; nie myślę o tém, że to jest tylko bal przyjacielski. Wchodzę, odźwierny i niańki stoją przed stancyjką odźwiernego, dla tego zapewne, aby przypatrzéć się wchodzącym. Odźwierny mowi do dziécięcia które trzymał za rękę: ten pan idzie na maskaradę bez maski. — Czy tylko same maski mają wnijście? — I owszem, panie, ale zabawniéj jest kiedy same maski wchodzą. Mamy już na górze dwóch pocztyljonów z *Longjumeau* i mnóstwo chłopów i pasterzy. Jakże ładnie wyglądają pocztyljony. Skoro moim małym ospę zaszczepią, będą ich co Niedzielę tak ubierać! — Nie słucham już odźwiernego, ale idę na wschody, na czwarte piętro; otóż jestem. Dzwonię, nie otwierają ale też drzwi nie zamknięte. Dziwię się, nie ma nikogo w przedpokoju zupełnie ciemnym.

Miałżebym przyjść za wcześnie? Ale już dziesiąta, jestem zaproszony na balik nie wystawny. Otwieram zatém drzwi które przed sobą napotykam, postepuję kilka kroków naprzód i słyszę krzyk..... wyciągam głowę i wi-

dzę podżyłą już kobietę w stroju dość zalotnym, nie była jeszcze fryzowaną, bo trzymała w ręku czepek którym chciała swoje siwe włosy pokryć.

Napróżno staram się usprawiedliwić, bo dama nie może się uspokoić że ją bez czepka i loków widziałem; radaby zemdléć, pośpieszam na pomoc; wtém weszła pokojowa i rzekła że fryzer zaraz przybędzie, bo jest u pani Feodille, która się dwa razy kazała fryzować, nie mogąc mody zastosować do twarzy. Biedny fryzer!... co on musi wycierpiéć aby tę damę piękną uczynić. — Mój Boże, zawołałem spostrzegłszy mój błąd, nie jestżem u p. M?

Nie, panie, odpowiedziała pokojowa, ten pan mieszka wyżéj... w te same drzwi.

Dama do któréj się odezwać chciałem, zrejterowała w tył swojego mieszkania oddaliłem się zatem spiesznie, a pokojowka złośliwie uśmiecha się z mojéj pomyłki, którą może za umyślną uważa. Idę jeszcze o piętro wyżéj, i czuję już bal, już słyszę nawet muzykę. Gruby Turek wychodzi na moje przyjęcie, to gospodarz. Jeżeli kto chce miéć o

nim dobre wyobrażenie, niech sobie wystawi, niskiego ale dobrze opasłego mężczyznę, którego nos zasłaniają dwa ogniem wybuchające policzki, oczy jego są w ustawicznym ruchu a brwi rozpościeiają się groźnie po czole. Ubrany w szerokie buchczaste spodnie w kamizelce aksamitnéj ozdobionéj galonami i dość do stanu wykrojonej; około bioder miał opaskę z wielkiego szala, na głowie wielki turban. W tym to komicznym stroju przypatrywał mi się dość długo, nakoniec parsknął śmiechem i rzekł: Jestem Turkiem, mój przyjacielu. Ledwie oddycham w moim ubiorze!...., ale cóż robić?..... Jakże ci się podobam?... — Wyglądasz jak pasza.—Pochlebiam sobie że będziemy się śmieli z całego serca? Ale wejdźże mój przyjacielu, już tańce rozpoczęto. Dobrze się będziem bawić! właśnie potemu mam humor. — Proszę cię powiedz mi czy te damy które pod tobą mieszkają także na bal przyjdą? — Tak jest... to jest bardzo miła osoba, a co za włosy! prześliczne!

Wiedziałem aż nadto co o tych włosach myśléć miałem, ale nie chciałem marcowego ado-

nisa z zachwycenia wyprowadzić. Wszedłem do salonu; muzyka była huczna, bo oprócz fortepianisty, było jeszcze dwóch młodych ludzi, z których jeden grał na skrzypcach a drugi na pikulinie. Towarzystwo nie było jeszcze liczne, tańczono wprawdzie, ale całe grono tańcujących składało się z czterech osób, pomiędzy któremi były dwje młode dziewczęta w pasterskim ubiorze, które w zdłuż i w szersz skakały po salonie; oprócz tego widziałem damę dość już stateczną, która w ubiorze sułtanki uczyła starego mężczyznę tańczyć galopady, ten przy komicznéj swojéj godności, dawał się zupełnie powodować czterdziestoletniéj terpsichorze, ktora pomimo usilności i pracy nie mogła widzieć w charakterze tej galopady jak powolny Menuet.

Rzuciłem wzrokiem po salonie, w framudze okna spostrzegam dwóch mężczyzn, którzy sztywnie na jednéin miejscu stoją, zapewne w obawie aby zbyt gwałtowne ruchy tańcujących nie wprawiły w nieporządek ich ubioru. Ubrani są jak chińczyki, a ich stroje prawdziwie można było nazwać pięknemi. Każda część ubioru była nowa i okazała, nie można im zarzucić nic, od stóp do

głów prawdziwi Chińczycy. Zapytałem się mojego Turka o tych dwóch panów. — To bogaci ludzie, każdy z nich jest właścicielem kilku domów. To są bracia, a ich imiona na giełdzie doskonały mają brzęk — To bardzo pięknie ale powiedz mi pan czy można z niemi mieć przyjemne towarzystwo?—Są bardzo bogaci ubierają się okazałe.—Widzę to, ale czy oni nic nie mówią? — Poźniéj będą mówić. — Czy dawno są tutaj? — Już od godziny i przez ten czas ciągle siedzą na tém samém miejscu, nie podniosłszy się nawet, jest to chiński zwyczaj. —Zapewne muszą się dobrze bawić.

W małéj odległości spostrzegłem Markiza i kawalera którzy się zdają być zajętemi bardzo zajmującą rozmową. Zbliżyłem się do nich myśląc że toczą rozmowę w charakterze ich przebrania i usłyszałem co następuje. — Mówię panu że mleczarki nie powinny siedzieć przed sklepikami. To byłoby ładnie.... Uważaj pan, mój siostrzeniec przedaje perfumy i mydło pachniące i ma bardzo ładny sklep przy ulicy Śgo Djonizjusza. Mleczarka chciała przed jego skle-

pem o kilka kroków przedawać mleko i rozstawiać swoje garnki i baryłki....:

— To byłoby zabawnie. — Nie można sobie nic nieczystszego w świecie wyobrazić jak te mleczarki i ich kramy. Jakże byłoby nie przyjemnie dla publiczności chcącéj kupić Eau de Portugal, albo migdałowe mydło, gdyby przez dzbanki z mlekiem przechodzić musiała.

— Siostrzeniec mój wkrótce wyprowadził tych gości. — Ale gdzież mają te biedne mleczarki przedawać swoje mleko? — Pod drzwiami domów! — Co, pod drzwiami domów? pan żartujesz? Ja utrzymuje mój dom porządnie i czysto, a mój odźwierny nikogo nie wpuści nie zapytawszy się poprzednio do kogo ma interes, a teraz mleczarki mają zajmować sienie moich domów, aby przedawać swoje produkta! wszystkie stare baby dziewczęta i uliczniki schodzić się będą do mojéj sieni dla kupna? Mocno obowiązauy mój panie. Czy dom mój jest miejscem publiczném? Toby nie było ani bezpieczeństwa ani własności. Nie wpuszczę ża-

dnéj baby z mlekiem do mojego domu? — A-leż u kata gdzież się mają podziać!

Moi panowie! Moi panowie! aby nie o polityce, rzekł gospodarz wchodząc między kawalera i markiza. Tańcujcie z kobietami! — ale gdzież są pańskie damy? — Nie widzisz pan jak przybywają? Będziemy się wesoło bawić! Gruby pasza śmiał się z całego gardła, spiesząc już tu już tam aby towarzystwo rozweselić i zabawić, które się jednak mimo uprzejmości przyjemnego gospodarza rozweselić nie dało. Wtém wszedł wysoki pan z pobocznego pokoju i przechadzał się po salonie. Ten pan jest to uczciwy obywatel, ktory sobie wielki nos i ogromne wąsy przyprawił. Patrzy na wszystkich przytomnych, a często zaziera do lustra, aby się dziwić sobie. Nie pojmuję jak do towarzystwa prywatnego można wleść z przyprawionym tylko nosem. Ten pan pewno ma komiczne widoki które późniéj na jaw wyjdą, będę więc czekać.

Towarzystwo coraz się powiększa. Nawet co raz więcéj przybywa ładnych kobiet, w stro-

jach wieśniaczek, markietanek i t. d. Ubiory są bogate, świetne i ozdobne, ale nie widzę ani jednego któryby był wierny. Istotne włościanki nie ubierają się z taką starannością, a markietanki nie noszą sukni z takiéj materji.

Maskę którą spostrzegam w kącie pokoju wstążkami i koronkami przeciążoną, nie można wziąść ani za włoską chłopkę, ani za mieszczankę z 14 wieku. Wszystkie teraz ubiory maskowe noszę nazwę pomysłowych. Można wprawdzie iść za fantazją ale szkoda że kobiety nie mają téj fantazji aby się wiernie podług natury ubierać. Rownież źle uważam wszystkie komiczne maski, które służyć mają do rozweselenia, gdy przesadzą komiczność wystawnością ubioru, bo daleko łatwiéj jest być okazale ubranym i powiedziéć,, podziwiaj się nademną, jak miéć prawdziwą postać komiczną.

Jedyna tylko komiczna osoba dotychczas na balu jest ten pan z fałszywym nosem. Chodzi pompatycznie po salonie, zatrzymując się przed damami zapewne w téj myśli że go zaczepią, ale nikt się nie o dzywa do niego. To musi

go gniewać. Zdaje mi się że nos jego przeszkadza widzeniu, bo już kilka razy skarambulował się z drzwiami. Radbym tylko wiedzieć jakim sposobem przymocował nos kiedy nie ma kapelusza. Wtém przybliża się do niego dama bez maski i rzecze: mój kochany, chceszże cały wieczór chodzić z tym przyprawionym nosem? — To się ma rozumiéć. — Ja myślę że tu nie ma nikogo z naszych znajomych przed kimże chcesz się maskować? — To nic nie znaczy... wzbudzam podziwienie... patrz jak sobie szepczą do ucha. — Ale ty tego nie widzisz, nos twój musi cię ambarasować. — Nie widzę wprawdzie bardzo dobrze, ale to nic nie szkodzi, zapewniam cię że mnie nikt nie pozna.

— Ze wszystkich obecnych zna cię tylo jeden M... — Daj mi pokój... zajmują się mną; to dobrze widzę. —Ale przy wieczerzy przynajmniéj odejmiesz swój nos. — Nie, nie odejmę go, bo oprócz tego nos i wąsy tak mocno są przylepione!... boli to wprawdzie trochę, ale za to trzyma dobrze.

— Będziesz ze mną tańczyć? — Żadnym sposobem! to mi myśl! gdybym z moją żoną tań-

czył natychmiastby mnie poznano. — Ale co to szkodzi, nikt nie zna cię.

— Dajże mi pokój.

Jegomość z fałszywym nosem odszedł w kwaśnym humorze od swojéj żony, i nastąpił na nogę komuś którego spotkał. Gospodarz jest nieopisanie szczęśliwy; niepodobna już prawie na krok postąpić, taki tłok jest w sali, a jednakże mają się tańce rozpocząć. Tłusty Turek biega tu i owdzie, śmieje się i krzyczy: Ah jak tu duszno, trzeba się bawić, figle stroić! Muzyka zagrała. Tańcujący ustawiają się jak mogą chcieliby zacząć tańczyć, ale nogi ich przylepiają się do podłogi. Spoglądają po sobie, nie wiedzą jak sobie to wytłómaczyć? Turek śmieje się i kręci na dywanie, płacząc prawie ze śmiechu. To był żart w jego sposobie, kazał proszek żywiczny po podłodze rozsypać, tak że tańcujący nóg oderwać nie mogli, kobiety zaczęły się gniewać, bo w istocie trudno jest do przebaczenia, aby kto zaprosił na wieczór, a tam wymyślił sposób przeszkodzenia gościom w tańcu.

Nakoniec p. M... prosi o przebaczenie skłaniając

gości przejść do przedpokoju aby salę do tańca przygotować można było. Wchodzę do sali gry; stawki są bardzo małe, a przecież jeden z graczy ciągle mruczy: przegrywam!... nie nie przegrywam, mam znów moje pieniądze. Ah, już po moich pieniędzach! przegrywam! otóż znowu się odgrałem!

Roznoszą lody, pan z przyprawnym nosem zdobył sobie filiżankę, ale zasila tylko swoje wąsy lodami, zamiast co by je w usta włożył. Po długich i bezskutecznych doświadczeniach stawia nakoniec kubek z lodami na kominek. W tém chodzi familja zamaskowana; mąż w postaci Szkota. Damy nie mogą przyjść z swojego podziwienia i przestrachu ale żona Szkota przebrana jak dzika kobieta, stara się całe towarzystwo zaspokoić. Strojem jéj był przewrócony kożuch. Niektóre z osób za mną stojących utrzymywały że ten jéj ubior zrobiony był z futrzanego rękawka. Jéj dzieci z których jedno miało 11 a drugie 9 lat, przebrane były za parobczaków, i zdaje się jakby płakać chciały, bo rozpuszczone loki ich peruk zasłaniały im oczy.

Markiz i kawaler ciągle jeszcze z sobą rozmawiali w téj saméj framudze okna. Byłem

pewny że zajmowali się przedmiotami tyczącemi się balu, ale w przechodzie usłyszałem następujące słowa: przecież codziennie potrzebuję mleka bo już od 14 lat nic innego nie piję na śniadanie jak kawę z mlekiem. Muszę mieć kawę.

— Możesz ją pić z wodą.—Mocno obowiązany—więc ci panowie ciągle jeszcze traktują o mleku i mleczarkach.

Gospodarz przyprowadził napowrót gości do salonu zapewniając że nadal nogi ich nie będą się do podłogi przylepiać. To mówiąc Turek nie mógł się wstrzymać od śmiechu, ja domyślałem się nowego jakiego żartu. Rozpoczyna się muzyka i na nowo zachęca do tańca. Pan z fałszywym nosem który wciąż przechadzał się wzdłuż i wszersz pokoju, wpadł w koło tańcujących i latał popychany z rąk do rąk jak piłka, ale nic go to nie interessowało był bowiem pewny swojego nosa że go zgubić nie może.

Dano znak do tańca, tancerze stoją w koło, ale nowy przypadek. Podłoga tak jest ślizką że zaledwie się na niéj utrzymać można; zaraz na początku przewróciły się dwie pary, a pod niemi ledwie oddycha biedny Szkocki ojciec. Tu-

rek śmieje się całém gardłem, ale tancerze napadają na niego z wyrzutami że jego żarty są zagrube. Turek zatém kazał proszek mydlany odmieść i taniec na nowo się rozpoczyna. Wysoka dama w stroju trubadura uskarża się bardzo gorszko. — To bardzo brzydko, przemówiła do swojéj sąsiadki, mój synek tańczył właśnie i upadł, przytém podarł sobie spodnie. Do końca więc balu będzie musiał siedzieć spokojnie, a ja jestem zmuszoną pchać w niego różne łakocie, aby go tylko uspokoić.

Dwaj Chińczycy nie ulegli żadnemu przypadkowi bo się z miejsca nie ruszyli. Zastanawiałem się nad ich cierpliwością i łamałem sobie głowę jaką oni na tym balu mogą mieć rozrywkę. W téj chwili powstał szmer w sali który objawiał przybycie nowéj maski. Byłto młody człowiek w stroju hiszpańskim, którego komiczność odpowiadała zupełnie założeniu. Miał suknię obszytą mnóstwem galonów, perukę z blond włosów, która była za małą, kapelusz z piurem, przy wypychanych tyłkach widzieć można było wiele motyli. Poznałem zaraz w tym młodym hiszpanie zręcznego artystę, który po-

dług mego zdania dla tego się zjawił aby bardziéj gości zabawić. Starania jego jednakże, gdzie każdy chciał być przedmiotem uwielbienia, nie zyskały dobrego przyjęcia i słyszałem nie jednę damę ktora na jego ubiór ostrą ciskała krytykę. Dwaj Chińczycy którzy przez cały wieczór siedzieli jak pagody na jedném miejscu, najlepiéj się podobali.

Raptem powstał wielki krzyk w jednym końcu salonu. Powodem do tego był pan z fałszywym nosem który mało się swojemi wąsami nie udusił, połknął je bowiem pijąc poncz. Zsiniał a całe towarzystwo pospieszyło mu na ratunek. — Żona jego wołała: trzeba mu odjąć fałszywy nos, bo on wszystkiemu winien. Napróżno młodzież starała się dopełnić żądania żony, bo nos był za mocno przylepiony i nie dał się odjąć. Udało się przecież nakoniec, a ból z oderwania powrócił mu przytomność; ale skoro schwycił się za nos i nie znalazł go, rzucił się w postaci rozpaczającego przez tłum za drzwi, mówiąc do żony: — Nie chciałem się demaskować, te-

raz wszyscy mnie poznali. — Jak to smiesznie, że mi nos odjęto.

Już dość było późno, a tęsknota do dwóch pasztetów które się w końcu pokazać miały, stawała się co raz żarliwszą. Tym końcem M... kazał wznieść w sali jadalnéj bufet, na którym się owe wychwalane pasztety śród mnóstwa innego pieczywa, pompatycznie unosiły. — Co też ten pan M. ma za śmieszne pomysły! mówił damy, danoż kiedy na balu pasztety? to zupełnie nie stosownie! — Kiedy nie ma nic innego to już je jeść będziem musieli; a oprócz tego dość śmiesznie wyglądają. To pewnie są sztrasburskie pasztety.

M. poprosił dwóch panów aby rozebrali te pasztety. Pomyślałem zaraz że Turek jeszcze jednym figlem nas udaruje. I wcale się nie pomyliłem, bo skoro ci panowie pokrywę pasztetów odjęli wyleciały dwa nietoperze. Damy mocny krzyk wydały uciekając do pobocznego pokoju, w salonie panowało największe zamieszanie, a do tego trzeba dodać jeszcze śmiechy Turka, gdy spostrzegł że jeden nietoperz wkręcił się w perukę szkota.

Ten okazały figiel zakończył bal. Oddaliłem się z tym panem, który tak mało miał szczęścia w kartach. Na wschodach jeszcze mruczał. Przecież mam moje pieniądze! Nic nie wygrałem.. jestem na tej saméj stopie jak rozpocząłem.

BURZA

Czy to noc?.. nie noc... wszak to dnia połowa,
Twarz słońca gruba okryła zasłona,
Na niebie, ziemi, cichość grobowa,
Czy żyje ziemia, czy kona?
Dzwony zajękły jak w chwili skonania,
I kwiatek główkę swą ku ziemi skłania.

Ptaszki umilkły.... a serce?..spokojne.
Kto przeżył większą namiętności wojnę,
Kto ją wytrzymać był w stanie,
Dla tego niczém i piekła otchłanie.
Stój zapaleńcze!... czy ty widzisz Boga,
Kto jego duszą pojmie i sercem oceni,
Dla tego tylko niczém jest trwoga;
Stój!... głos skonał... drzy ziemia... chmura
Błyska się, błyska! (ognie ciska,
Wyją pioruny gdyby z spiżu działa,
Niebo się ogniem rumieni
Jaśnie....
Ciemno... znów ogniem płonie,
Znów gaśnie.
Zadrżało serce w najmężniejszém łonie,
I dusza struchlała,
Wiatr trzęsie ściany konwulsyjném wyciem,
Każdy huk gromu zniszczeniem zagraża.
Zimny pot pokrył twarz bladą żeglarza,
W objęciach śmierci łzy roni za życiem.
Lud się z każdéj schodzi strony.
Przybytek pański już nim napełniony,
Jęk i trwoga,
Każdy z płaczem wzywa Boga
Tak jak ojca małe dziécię,

I o cóż proszą? o życie.
Śmierć, gdy Bóg powie, posłuszne żywioły;
Tak wstrzęsną ziemią jakby garstką pierzy,
Gdzież ludzie? gdzież ten marzeń kwiatek świeży?
Co na łonie przyszłości pieszczą go anioły?
Śmierć, gdy Bóg powie, i zagaśnie słońce,
Ani księżyca spojrzenia,
Śmierć... i na świecie wszystko konające,
I ani ziemi wspomnienia!
Śmierć, i świat cały w gruzach się zagrzebie,
Imie swe straci w swéj własnéj ruinie.
Życie!... i znów się słońce uśmiechnie na niebie,
I złote sploty rozwinie.

J. Łopaciński.

RĘKAWICZKA.

Mój przyjaciel Henryk, był najniestalszym człowiekiem jakiego kiedykolwiek znałem; bez charakteru, aż do śmieszności, zmieniał swoje postanowienia po dziesięć razy na dzień. Uległy wszelkim wzruszeniom, zmieniał on swoje

skłonności razem z sukniami i każda ręka, jak z miękkiego wosku, mogła z niego zrobić innego człowieka. Posiadałem całe jego zaufanie, często nazywał mię swoim najlepszym przyjacielem, zapewniając że rada moja jest dla niego zawsze wyrocznią, za którą w każdym razie bez warunku pójdzie; ale zaledwie rozszedł się ze mną, a pierwszy lepszy znajomy którego spotkał w jakiéj cukierni, dwoma słowami i szklanką ponczu zdołał go przekonać, że moja rada była nierozsądną i że powinien działać tak jak przystoi człowiekowi z charakterem, to jest, jak temu nowemu doradcy wygodniéj było dla jego korzyści.

Od niejakiego czasu Henryk zajmował się śmiałą myślą wejścia w związki małżeńskie. Prosiłem go gorliwie aby nad tym ważnym krokiem który nie łatwo zmienić, pilnie się zastanowił i malowałem mu żywemi farbami przykre skutki, jakie muszą nastąpic jeśli krok ten zbyt pospiesznie bez namysłu wykona. Znając go musiałem obawiać się, aby przed ołtarzem, jeśli aż tam zajdzie szczęśliwie z swoją narzeczoną, nie pokochał się w pierwszéj le-

pszéj dziewczynie obecnéj przy ślubie, którąby mogła bardziéj mu się podobać niż jego oblubienica. Obszerność jego serca w którém bożek miłości nie raz już grywał w komórki do najęcia, dobrze była mi znaną, i dla tego probowałem wszelkich sposobów, aby go odwrócić od téj fatalnéj myśli, która nieochybnie jego albo przedmiot jego chwilowéj namiętności uczyniłaby nieszczęśliwą; ale napróżno, ten nieszczęśliwy zamiar z zadziwiającą wytrwałością nie chciał się zmienić, i tylko *jak*, *gdzie* i *kiedy*, zmieniało się w nim jak kolor chameleona. Jednakże pomimo jego zmienności, nie sprzeciwiałbym się temu jego planowi, gdybym był znał choć jednę istotę rodzaju żeńskiego, któraby przy wdziękach, dobroci serca, i rozsądku, zdolną była tyle objąć nad nim władzy, aby razem z wstąpieniem w związki małżeńskie, wszedł pod ścisłą kuratelę. Ale niestety, tém mniej mogłem się tego spodziewać, że panien z takiemi, przymiotami nie wiele było wakujących, i że przyjaciel mój dobrze wiedział, że pantofel robi

się z tego samego safjanu co najpiękniejszy puljares.

Bardzo niepokoiło mię, że Henryk od niejakiego czasu bardzo się kręcił koło jednéj młodéj wdowy, która zupełnie sprawdzała to stare przysłowie: *similis simili gaudet* (poznał swó swego). Paulina, obdarzona wszystkiemi wdziękami, które mogą być niebezpiecznemi dla młodego człowieka, została wdową w dwudziestym roku życia, i nosiła żałobę, już ośm tygodni nad czas przepisany, ponieważ wiedziała od swego źwierciadła, że stroj czarny tyle prawie był dla jéj wdzęków, ile stosowna oprawa dla brylantów. Śmierć szczęśliwym przypadkiem rozwiązała stosunki których dłuższa trwałość nie zawodnie byłaby ich nieszczęśliwemi uczyniła, — ponieważ prawie jeszcze dziecięciem będąc pozbawiona przez węzeł małżeński wolności, słuchała mile rozmów obcych mężczyzn, które do jéj serca więcéj przemawiały niżeli słowa tego po którym tak długo nosiła żałobę.

W pierwszéj chwili odzyskanéj wolności unosił się ten mały żałobnik (motyl) nad góry i doliny śmiertelnego życia, najgrawając się z

każdéj śmiałéj ręki, która w celu uchwycenia po niego się wyciągała, aż póki nakoniec otoczony ze wszech stron sidłami, wkrótce na nowo, chociaż tym razem nie mimo jego woli, wolność swoję poświęcić musiał. Pomiędzy ubiegającemi się za motylem był także i Henryk który wdowie ofiarował swoje serce, nakształt siatki przedziurawione miłostkami. Paulina która mego przyjaciela znała jako młodego człowieka, bogatego i nie zawisłego, który w towarzyskiém życiu tak dobrze się umiał przedstawić, dała mu pierwszeństwo przed wszystkiemi jéj wielbicielami, co tak pochlebiało jego miłości własnéj, że z wielkiém mojém nieukontentowaniem, namyślił się nad jedną kwestją swego małżeństwa (to jest, gdzie?) Ale rachowałem jeszcze na niestałość młodéj wdowy, któraby na moją pociechę, nad kwestjami *jak* i *kiedy* nie jednę zostawiła wątpliwość, albowiem doświadczona w sztuce kokieterji, mogła przenosić już tego już owego, co nie mały wywarłoby wpływ na niezdecydowanie się Henryka. Jeden bal niestety zniszczył wszelkie moje nadzieje i uczynił Henryka najszczęśliwszym z ludzi, przynajmniéj w własném wyobrażeniu.

* * *

— Paulina jest moją, moją na wieki! od dawna posiadałem jéj serce, a teraz oddała mi swoję rękę, jesteśmy zaręczeni — żadna siła zawistnego losu nie potrafi nas już rozłączyć! Tak, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi! Temi to wykrzyknikami wpadł na mnie pewnego rana na ulicy, ciągnąc mnie do domu wdowy z którego był wyszedł.

— Ale jakże to mogło być tak prędko? zapytałem zdziwiony, nie ukrywając bynajmniéj mojego nieukontentowania.

— Wczorajszy bal u radcy H... rozstrzygnął mój los. Paulina była piękną do zachwycenia, jéj toaleta najgustowniéjsza, a tańczyła— byłbym z nią tańczył do upadłego! Trzy walce przyrzekła mi już poprzednio, dwie galopady dodała do tego podczas balu i oprócz tego wybrała mnie do figur w kotiljonie pięć razy — kiedy kto tak jawnie tłómaczy swoje uczucia,to już nie ma wątpliwości;pierwszeństwo jakie mi oddawała robiło wrażenie, każdy

mi winszował, dziwiłem się temu, wyśmiano mnie.

— A moja dobra rada? przerwałem mu serjo.

— Przyjacielu, gdybyś był widział boską tę istotę, znasz mnie, szybko powziąwszy postanowienie poszedłem za nią po ukończonym balu do pokoiku toaletowego pani radczynéj. — Ale cóż cię mam nudzić mojemi oświadczynami—szukała swojego futra, pączek róży upadł przytém z bukietu który miała na piersiach, — podniosłem go, — przycisnąłem do moich ust — oczy się nasze spotkały — odprowadziłem ją do powozu, lekkie ściśnięcie ręki było z jéj strony wzajemnością odpłacone, a dziś gdym wszedł do jéj pokoju, aby się o jéj zdrowiu dowiedzieć, rzuciła się w moje objęcia z słodkiemi wyrazy: — Henryku, jak długo dajesz czekać na siebie!

— W takiéj okoliczności nie było nic do powiedzenia, rzekłem żałując biednego jeńca.

— Pójdź do niéj na górę, rzekł Henryk przepełniony szczęściem, niech ci Paulinę jak moją narzeczoną przedstawię. Tyś pierwszy któ-

ry się o szczęściu naszém dowiadujesz. Masz być świadkiem jego. Potém udasz się ze mną do drukarni, bo najdaléj jutro wszyscy nasi znajomi muszą być przez kartki uwiadomieni o naszych zaręczynach.

— Przy tych słowach otworzył nowy narzeczony drzwi swojego raju, a ja stanąłem nie bez przykrego uczucia przed najpiękniéjszą ale pewnie najwięcéj zalotności mającą kobietą.

— Paulina opowiadała mi przy dziewiczém zarumienieniu, jak dawno żywiła już w sercu miłość dla mojego przyjaciela, a Henryk całusami chwytał wyrazy z jéj ust; było to boskie widowisko ale którego sceny jak ja naprzód wiedziałem, prętko po sobie się zmieniały. Gwałtowna ta miłość zdawała mi się odurzeniem, po którém straszna noc ma nastąpić, i z trudnością mi przychodziło dotkliwe moje uczucia ukryć, aby życzenia szczęścia wybąknąć. Starałem się mowę zwrócić do czego innego, zapytując się narzeczonych czy nie chcieliby dzisiaj wieczór pójść na bal maskowy urządzony przez pp. Blum i Hoguet w sali koncertowéj królewskiego teatru.

— Wybornie, przyjacielu, żeś mi o tém przypomniał, rzekł Henryk uradowany, — będzie tysiąc żartów. Nikt się nas tam nie spodzieje, a jeżeli przyjdzie do demaskowania się, będzie to najstosowniejsza pora przedstawić ciebie kochanko moja moim przyjaciołom. Nieprawdaż Paulino, pójdziemy tam?

Przykro mi bardzo, kochany Henryku, że ci dziś zaraz odmówić muszę, ale na bal nie pojadę, nie lubię balów maskowych, rzekła Paulina stanowczo, pokazując najlepiéj jak dobrze umiała się z maską obejść.

— I dla tego tylko chciałaś się moim życzeniom sprzeciwić!

—Możeszże tego życzyć cobym ja nie lubiła? sądziłabym że wstręt mój do podobnych zabaw, powien być dostatecznym do pozbawienia cię wszelkiéj do nich ochoty.

— Nie zaprzeczam że bale maskowe zawsze mnie bawiły, nawet pewien jestem Paulino, że ty mi je pod tym względem chwaliłaś.

— Poprzednio—o tak, może być, ale dziś.

— Od razu taka zmiana?

— Wiedzże prawdziwą przyczynę; jak widzę nie mogę o niéj zamilczéć. Kapitan Mosen, ten

sam którego ty, może nie bez przyczyny, przez pewny przeciąg czasu nazywałeś swoim rywałem, już mnie przed kilku dniami prosił o pozwolenie wprowadzenia mię na bal, odmowiłem mu pod pozorem że nie lubię balów. byłoby więc niegrzecznie gdybym tam się pokazała.

— Sądzę że nasze stosunki które za kilka godzin będą publicznemi, uwalniają cię od wszelkich względów tego rodzaju; i pochlebiam sobie że ja jako twój narzeczony, przed wszystkiemi tyle będę miał...,.

—Że wolno ci będzie dopełnienie wszystkich życzeń moich liczyć za najprzyjemniéjsze obowiązki.

— Ton prowadzonéj rozmowy z obu stron nie był najdelikatniéjszy;szczególnie Henryka rozdrażniło wymienienie kapitana który mu i tak już był solą w oku, gdyż go w mieście za najszczęśliwszego kochanka uważano. Załosna ta rozmowa zamieniła się nagle w uszczypliwą, która mnie aż nadto w mojéj powziętéj opińji o tym związku utwierdzała.

— Henryk, nieprzyjaciel wszelkiéj stałości, ustąpił nakoniec, ucałował pantofelek swojej surowéj pani, dziękując za łaskawę pozwolenie wypełniania jéj rozkazów, prosił mnie abym mu to-

warzyszyć do drukarni i oddalił się pocałowawssy ceremonjalnie rękę swojéj kochanki.

— Na drugiéj ulicy zwierzył mi się Henryk, że szczególne postępowanie Pauliny mocno go uderzyło i scena która miała miejsce wzły humor go wprowadziła. Zażądał ode mnie wyraźnego sądu o swojéj kochance, ale ja mu dałem do zrozumienia, że gdy poprzednio moich przyjacielskich rad nie słuchał, teraz już są trudniéjsze, więc najlepiéj będzie jeśli nawarzywszy piwa sam je wypije.

— Ależ my jeszcze nie zaślubieni, rzekł Henryk, z którego oczu wyczytać mogłem o ile już żałował spiesznego tego kroku, a jeżeli sądzisz że szczęśliwemi nie będziemy, to ja lepiéj wstrzymam jeszcze dni kilka drukować się mające kartki.

— Nie chcę być asmodeuszem, ale po tém co widziałem i słyszałem w waszych stosunkach, wróżę że najwięcéj pogod jesiennych będzie w waszém pożyciu, przeplatanych często gwałtowną burzą.

— Toby jeszcze było jako tako, nie ma róży bez cierni, a po deszczu następuje pogoda,

przyjacielu; ale kapitan, ten przeklęty kapitan, nie chce mi wyjść z głowy! Na nieszczęście nie był wczoraj na balu, a oświadczając miłość moję Paulinie, zupełnie zapomniałem że on długo był moim rywalem. Dopiero dziś gdy moja narzeczona o nim wspomniała, wstąpił w moję duszę tak strasznie jak tylko zazdrość odmalować go może.

— Jako małżonek pewnie wzbronisz mu wstęp do swego domu.

— Tak myślę, jeżeli....

— Jeżeli twoja żona nie będzie miała nic przeciwko temu. To sprawiedliwie, będziesz doskonałym mężem, a przy twojéj słabości i Pauliny niestałości nie będzie wam obu na odmianach brakować.

—Wspomnienie, niestałości skutkowało: Henryk stał jak Herkules na rozstajnéj drodze przed drukarnią, a w głębokiém zamyśleniu pocierając czoło, rzekł: tym razem przyjacielu, pójdę za twoją radą. Nie każę prędzéj kartek zaręczyn drukować aż póki się jeszcze z Pauliną nie rozmówię; do tego domu pójdę, nie do drukarni ale do mego krawca, aby sobie ślubny frak obstalować, któ-

ry w potrzebie i przy innych uroczystościach da się użyć. Bądź zdrów, około wieczora odwiedzę moją kochankę i rozmowę ci opowiem. Po tych słowach ścisnął mię za rękę i wszedł do kamienicy.

* *
*

Wieczorem tego samego dnia wszedł Henryk z spuszczonemi oczyma do mojego pokoju; wstydził się w oczy mi spojrzéć, bo obawiał się żartów, słusznéj kary swojego pośpiechu. Przychodzisz od swojéj narzeczonéj? zapytałem się go z ironicznym uśmiechem. Sądząc po twojéj twarzy, myśléć wypada, że kochanka od ciebie poszła, to jest że cię opuściła.

— To też los mój nie wiele się od tego różni. — Poszedłem do Pauliny w zamiarze aby się w téj sprzeczce porozumiéć, otwarcie jéj powiedzieć co mam na sercu, czyli jedném słowem przekonać się, czyli Paulina godną jest mojéj miłości — ale zastałem wszystkie drzwi rajskiego pałacu zamknięte. Gwałtowna migre-

na, jak twierdziła służąca, uczyniła ją nie zdolną do przyjęcia jakiéjkolwiek wizyty, a więc ja który na wszystko byłem przygotowany, wyjąwszy na to jedno, nic nie sprawiwszy, a zatém w nie najlepszym humorze odszedłem.

— Gdybyś był z nią mówił, ty coś był widocznym sprawcą téj migreny, nie wiem czy twój humor byłby weselszy. Wiedziałeś, co poprzednio myślałem o Paulinie i nie zmieniam mojéj opinji, chociaż jest twoją narzeczoną przeciwnie, nie ukrywam się że ona w teraźniéjszym waszym związku jeszcze mniéj jest w oczach moich warta, bo nie bierz mi za złe, wy oboje w pewnych okolicznościach tak jesteście do siebie podobni, że wkrotce jedno się na drugim pozna, a każde się siebie zlęknie.

— Jak ja to mam rozumiéć.

— Jak chcesz. Dwa zgodne charaktery nie zgadzają się z sobą, szczególnie kiedy jak wy zarówno chciwie lubią odmianę. Gdyby wasze niezdecydowanie się doprowadziło was do ołtarza, to ta niestałość strasznieby się na was mścić

mogła. Jeżeli małżeństwo ma być zgodne i szczęśliwe niech ostateczności stykają się z sobą.

Bo gdzie się mocne z słabém ostre z mięk
kiém dwoi,
Tam się akord dobrze stroi.

Ale co to pomoże! to moje kazanie i rady; ty jednak zrobisz co się tobie podobać będzie. Zawsze pewnych ludzi doświadczenie dopiero mądremı czyni

—Rozmowa jak widzę zamieniła się w poważną; dobrzeby to było, gdybym po fjakra posłał i gdybyśmy na godzinkę pojechali na maskaradę? Domina są gotowe, a maski łatwo dostać.

Henryk, widziałem to, wielką miał ochotę, ale wachał się przez chwilę mrucząc. Paulina nie chciała....

— Sama pójść, rzekłem, ale nie zakazała ci samemu iść i to byłoby nawet śmiesznością gdyby twoje zabawy zależéć miały od jéj kaprysów.

— Masz słuszność, przyjacielu, rozweselę mój humor na reducie—pójdź, spieszmy się; i w pół godziny byliśmy już w pojeździe.

* * *

Wielką koncertową salę teatru, napełniał tłum różnobarwnych masek; zaledwie weszliśmy, gdy tłum ten nas rozdzielił a przyjaciel mój zginął w tym chaosie. Przedsiębiercy maskarady tak dobrze ją urządzili, że wszyscy bez wyjątku z zadowoleniem bawić się mogli. Nie szukałem Henryka który tutaj chciał troski swoje zapomnieć bom sobie przypomniał, że na przypadek rozłączenia na maskaradzie, mamy się znaleść w bufecie o godzinie 11 gdzie jeden na drugiego czekać powinien. Od chwili już oczekiwałem w naznaczoném miejscu mojego przyjaciela, gdy ten nagle wszedł i dał mi znak abym za nim szedł.

— Gdzież mnie prowadzisz? zapytałem ciekawie.

— Do téj boskiéj istoty, patrz na tę piękność, która z tym galonowanym Węgrem tańczy! Temi słowy przyprowadził mnie do koła tań-

cujących i przyznaję że i mnie widok pięknéj pary uderzył.

— Jeżeli ich twarze są tak ładne jak ich postawy, to muszą być zachwycające, rzekłem z cicha do mojego już oczarowanego przyjaciela.

— Któż o tém wątpić może? Natura byłaby niewdzięczną gdyby do téj pełnéj gracji postaci nie dała anielskich rysów twarzy! Przeklęta maska!

— Pozory często mylą, kochany przyjacielu; jeżeli dama ta istotnie tak ładną jest jak ty rozumiesz, dla czego nosi maskę która właśnie wcale do tego ubioru nie pasuje? pół maseczki byłoby dostateczném.

— Czy możesz wiedzieć czyli ta dama czasem nie ma jakich przyczyn być nie poznaną? I Węgier który wprowadził ją do salonu i na chwilę nie opuszczał, ma maskę, która go czyni nie poznanym. Oboje tak zapewnie mają jakiś cel, w tém coś jest.

— Zapewne parka miłosna któréj my jako dostrzegacze nie będziemy bardzo miłemi. Pójdźmy ztąd.

— O, nie przyjacielu, nie na próżno przez

cały wieczór śledziłem ich kroki, a przytém i ta piękność warta bliższego zaznajomienia.

— Jakto? tybyś chciał.

— Cokolwiek się rozerwać, bo mi od rana jakoś dziwnie śmiesznie; patrz,odstępują, opuszczają koło, daléj za niemi.

Henryk który mi teraz dał wyraźny dowód o ile się z zaręczynami Pauliny pośpieszył, ciągnął mnie za odchodzącą parą która na chwilę zatrzymała się się na wzniesieniu. Exaltowany mój przyjaciel zatapiał swoje miłosne spojrzenia w czarodziejskich wdziękach które do połowy tylko lekka osłaniała zasłona. Serce jego tak było tym widokiem napełnione,że na ten wieczór przynajmniéj, zupełnie Paulina z niego ustąpiła. Nowa ta namiętność przypadła mi bardzo, bo czyniła mi nadzieję, że przez nią zapobiegnę po przedniemu pośpiechowi, któryby dwie istoty nieszczęśliwemu uczynił. Chciałem popierać tę wieczorną awanturkę aby większą przytłumić, któraby wielki wpływ na szczęście mojego przyjaciela wywrzeć mogła.

—Interesująca para po krótkiém odpocznieniu, wstała i zmierzała ku drzwiom salonu. Po-

szliśmy za niemi nie odkrywając nic więcéj jak to cośmy już poprzednio uwielbiali. Na schodach zatrzymała nas trupa cyganów i dopiero przy wychodzie spostrzegliśmy na nowo naszych zbiegów w przejeżdzającym koczu, a z okien kocza wołał Węgier na woźnicę głosem który mi nie był nieznajomym: Do Jagora!

Wybornie! zawołałem, lepszéj wskazówki nam nie potrzeba, kochanek sam nam drogę do swojéj kochanki wskazuje, pogoda piękna, nie daleko, a zatém piechotą bez zatrzymania prędko do oznaczonéj restanracji.

*
* *

U Jagora zajęte były wszystkie prawie pokoje; największa część gości składała się z masek które tu dla odetchnienia maski pozdejmowały; przyglądaliśmy się twarzom, ale naprózno, bo téj którą staraliśmy się odkryć nie mogliśmy znaleść. Gdyśmy nakoniec w ostatnim pokoju chcieli się również oddać zabawie i biesiadzie, oświadczyłem posłu-

gującemu garsonowi cel naszego tam pobytu i z wielkiém ukontentowaniem znaleźliśmy w nim drugą wskazówkę która nam coraz bliżéj do mety drogę ukazywała. Pokazał nam za całą odpowiedź z miną filuterną na drzwi zamknięte pobocznego pokoiku; z szybkością błyskawicy pobiegłem do dziurki od klucza, ale Henryk uprzedził mnie dla czynienia mi swoich uwag. Jego zachwycenie aż nadto mnie przekonywało żeśmy na prawdziwy trop wpadli: bo wkrótce znowu nanowo unosił się w pochwałach nad pięknością, któréj jednak nic więcéj widziéć nie mógł jak plecy, gdyż tyłem była do nas odwróconą. Bez zwrócenia na siebie uwagi nie mogliśmy dłużéj obserwacje przez dziurkę od klucza odbywać, a w przekonaniu że miłosna para po skończonéj wieczerzy, musi przejść przez drzwi strzeżone, zabraliśmy się dla ukrócenia chwil oczekiwania, do pasztetu z truflami. Nagle otworzyły się drzwi, zerwaliśmy się z naszych miejsc, ale zamiast tęsknie oczekiwanych, spostrzegliśmy wychodzącego garsona, który z żalem oznajmił, że zakochana para opuściła gabinet innemi drzwiami. Chcieliśmy choć z goryczą o prawdzie téj przekonać się i weszliśmy do świątyni

gdzie Amorowi, Bachusowi i Cererze ofiary składano. Jeszcze się burzył szampan w niedokończonych szklankach i właśnie chciałem pokazać mojemu przyjacielowi na pół spełnioną szklankę z któréj zapewne nasza piękność piła, gdy spostrzegam jak mój Henryk z prędkością jastrzębia rzucił się na jakiś łup pod stołem, wkrótce potém z tryumfującą miną z rękawiczką w ręku wyszedł z pod stołu.

— Zobaczę ją jeszcze! zawołał Henryk, rękawiczka ta jest najpewniéjszym znakiem, poznam ją po nim jak książe Ramiro po trzewiku poznał piękną swoją Rózię. Ogłaszam przez dziennik o tém znalezieniu, nie żądając zwrotu kosztów, ale ręki téj która to nosiła, za to przeznaczam właścicielce cały mój majątek i serce.

— Hola, przyjacielu, pamiętaj że obecnie nie jesteś ani panem twego serca ani ręki.

— Rękę moją co moment mogę wziąść napowrót stąd gdzie myślisz że jest uwięzioną, a co się tycze mojego serca, to należy obecnie do właścicielki téj jak *Eau de mille fleurs* pachnącéj rękawiczki, która posiada je i zupełnie ma posiadać.

— Oglądam w téj chwili prawdziwie zręcz-

nie wypracowaną rękawiczkę, która zdradzała rękę tak małą i śliczną, że ledwie wielkością swoją mogła zakryć dość duże usta mego przyjaciela. Z najbielszéj skóry wyrobiona, mankietem blondynowym ozdobna, a wierzch jéj haftowany był złotem; nie może pewnie być więcéj takich rękawiczek jak druga z pary. Widok tylu wdzięków mimowolnie skłonił moje usta do oddania im hołdu płomienistym całusem i Henryk przewidział moje zamiary; wyrwał mi rękawiczkę przycisnął do serca i zaprosił na jutro na dalsze operacje.

* *

Nazajutrz rano znalazłem Henryka siedzącego w zamyśleniu na sofie, i spoglądającego na leżącą na stole rękawiczkę. Zrana już Paulina uwiadomiła go że migrena ją już opuściła i że go zaprasza na przedobiadową wizytę.

— Cóż myślisz uczynić? zapytałem się Henryka który teraz widocznie cierpiał z przyczyny pośpiechu w zaręczynach.

— Pójdę do niéj: przyjęcie jéj i rozmowa roztrzygnie, czyli na zawsze się jej poświęcę lub czy na wieki zerwę z nią stosunki; po tém będę daléj śledził właścicielki rękawiczki.

— Wyrażenia te zastraszyły mnie, przy tym giętkim charakterze powinienem się obawiać, aby miłe spojrzenie, przyjazne słówko, nie zgasiło dzieła wczorajszéj zabawy co mnie tak mocno cieszyło.

— Pójdź ze mną do mojéj kochanki, będziesz świadkiem że jak człowiek honoru działać będę; ofiarowałem jéj moię rękę i pod takim tylko warunkiem odsunę ją, jeżeli się na niéj zawiodłem; jeżeli mnie jak sądzę kocha szczerze, wtenczas przyjacielu odstępuję ci rękawiczkę! szukaj z nią swojego szczęścia, a jeżeli znajdziesz piękną...

— To będę unikał twojego towarzystwa, aby cię na nowo w niebezpieczeństwo nie podać! rzekłem złośliwie. Henryk schował rękawiczkę, chwycił za kapelusza, ja poszedłem za nim trząsając głową.

— Paulina przyjęła nas w zupełnie nowym rannym ubiorze, piękna jak poranek wiosny, tylko niejakie ślady zostawały jeszcze po wczoraj-

széj migrenie. Na jéj widok nie wątpiłem ani na chwilę że mój przyjaciel wpadnie w zastawioną łapkę — ale się zawiodłem. Paulina pobiegła na przeciw kochanka, który ją czule przycisnął do serca, ale raptem wyrwał się z jéj rąk wskazując na stół który stał przed kanapą. I ja oniemiałem; na tym samym stole leżała druga rękawiczka, która śmiertelną swoją białością wpadła mi w oczy. Nie ma wątpliwości, była siostrą téj którą Henryk na sercu nosił, kolor, hafty, blondyny, wszystko było zgodne. Ah! a skład, ten delikatny skład z ręką Pauliny porównany, aż nadto wyraźnie właścicielkę pokazywał.

Paulinę nie mało zastanowiło nasze tajemnicze oniemienie, i gdy żaden z nas pierwéj odezwać się nie chciał, opowiedziała nam że jedna z rękawiczek która tak nas zastanowiła, niewiadomym jakimś sposobem zaginęła:

„Ten co tyle razy,
Miłość czułemi przysięgał wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda!"

zakończyła żartobliwie, chcąc posadzić Henryka przy sobie na sofie.

Lecz ten cofnął się kilka kroków, mając ciągle oczy zwrócone na rękawiczkę, któréj wyciągnięty wskazujący palec jako drogowskaz do stanu kawalerskiego, zwrócony był ku drzwiom, co mu drogę wzkazywało którą postępować powinien; Paulina nie mniéj była zdziwioną widząc rzuconą drugą rękawiczkę i słysząc następujące wyrazy:

Rycerz jéj w oczy rękawiczkę rzucił.
Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale.
To rzekł i odszedł i więcéj nie wrócił!—

Lecz ten posunął się kilka kroków, mając ciągle oczy zwrócone na rękawiczkę, której wyciągnięty wskazujący palec jako drogowskaz do ustawienia kawalerskiego, zwrócony był ku drzwiom, co mu drogę wskazywało którą postępować powinien. Paulina nie mniej była zadziwioną widząc rzuconą drugą rękawiczkę i słysząc następujące wyrazy.

Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił.
Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale.
To rzekł i odszedł i więcej nie wrócił! —

PORANEK WIOSNOWY.

Jak miło, jak spokojnie w poranek wiosnowy!
W gaiku słowik tkliwe wywodzi rozmowy,
Brzęczy komar radośnie.... wietrzyk pieści kwiaty,
I różyczkę całuje motylek skrzydłaty.
I purpura odziane, co życia użycza,
Słońce zwolna swe boskie odkrywa oblicza,

Wszystko je czule wita z żywém uniesieniem,
Pasterz tkliwą multanką, a pasterka pieniem;
Wszystko znowu ożyło... świat zmartchwych-
(wstał cały,
Gwiazdy tylko swe lica w obłokach schowały.
Jeszcze złota jutrzenka tleje za obłokiem,
I księżyc z za chmur, smutném na świat ziera
(okiem
I jeszcze, — Serca zimne spoczywają w grobie,
Sen skleja ich powieki, dusza drzemie sobie.
Serce ziemskie, uciechy ziemskie uczuć zdoła,
Chcesz Boskie czuć rozkosze miéj serce anioła,
I jeszcze martwe głazy ze spokojném okiem,
Witają wejście słońca w milczeniu głębokiém;
Nie dla nich jest przyroda w ozdoby bogata,
One tak będą martwe do skończenia świata.

J. Łopaciński.

MARJA O'BRIEN,

Pogodny ranek, posępny dzień i burzliwy wieczór: cokolwiek złudzenia, cierpienia, a nakoniec śmierć, oto nasze życie.

(Goethe, Majster Wilhelm)

I.

O'Brien-House

Było to w 1832 roku, wieczorem, pięknego dnia Września. Pięć osób było zebranych w salonie pięknego domu, który wznosił się wspaniale z swoim dachem ciemnym,

na małym wzgórku, niedaleko morza, między Kilkenny i Waterford, na końcu wschodnim jednéj z tych wiosek Irlandzkich, rozsianych tam i owdzie na tym oceanie zielonym. Wioska ta położona w miejscu rozkoszném, panowała nad wielu pięknemi górami, nad dolinami bogatemi w widoki i urodzaje, nad pastwiskami obszernemi, nad łąkami obsianemi kwiatami rozmaitemi i przecinanemi rożnemi odcieniami zieloności; w oddaleniu mgły białe oznaczały brzegi kraju Galles. Wszystko uśmiechało się naszéj imaginacji widokiem wesołości i uroku, wszędzie natura bogata i miłośnie uprawiona, uśmiechała się do naszego serca, spostrzegano wprawdzie gdzie niegdzie liście pożółkłe, lecz dzień był piękny i ciepły, a oczy nie mogły jeszcze odgadnąć nadchodzącéj pory jesieni. Niebo było czyste, jak pierwsze mysli młodéj dziewicy; purpurowe szaty zachodu, i ostatnie promienie znikającego słońca, stroiły drzewa, góry odległe i przybierały naturę w nowe wdzięki. Lekki wietrzyk unosił się z odnogi Wexford; ptaki odzywały się ostatniemi dnia tego śpiewy; wieczór był rozkoszny i nigdzie

pewnie wspanialszym się nie wydawał, jak z domu któryśmy wyżéj opisali.

Najgłówniejszą osobą tego zgromadzenia był starzec z postawą spokojną i którego rysy, kraszone słodkim uśmiechem, wyrażały szczęście spokojne, ale które nie zawsze było jego udziałem, bo głębokie bruzdy wysokiego czoła, świadczyłv że były dziełem smutku a nie cierpień fizycznych. Lecz czas wypogodził twarz, jego a szczęśliwsze wypadki wlały w duszę jego balsam pocieszenia. Przy nim siedziała kobieta o kilka lat młodsza, któréj oko przyćmione łzą radości spoglądało z czułością macierzyńską na młodą dziewicę, z czarnemi oczami z cerą białą i z postawą zachwycającą, nieco dumy podnosiło jeszcze jéj rysy z natury delikatne, oko jéj poważne, czoło piękne i posępne, pierścienie czarnych włosów spadające na śnieżne jéj ramiona i twarz jéj okrągła, wszystko świeciło wyrazem anielskim niewinności i szczerości, chociaż w jéj stroju było coś wyszukanego podług mody włoskiéj. Postawa jéj nachyloną była do młodzieńca, którego ubiór wskazywał że nie należał do ziemi irlandzkiéj. Rysy i ruch jego wyrażały rodzaj przyjem

néj lekkości, który przed 60 laty tak Francuzów oznaczał. Żądza i nadzieja malowały się w jego oczach, a poruszenia żywe zdradzały niecierpliwość. Siedząc w oknie otwartém, zwracał co chwila wzrok swój na drogę z Kilkenny tak jakby nim chciał czyj powrót przyspieszyć; lecz nie spostrzegając nikogo, zwracał się wzdychając do młodej dziewicy, która uśmiechem tkliwym i wyrazem miłości i szczęścia rozpędzała niecierpliwość z twarzy młodzieńca.

Obok nich, ale opodal w cieniu, siedziała druga dziewica, piękniéjsza może jak pierwsza, ale któréj piękność nie tak była przemawiającą. Twarz jej miała tę regularność którą Grecy tak uwielbiają; cera lekko brunatna, kazała się domyślić że w jéj żyłach płynie część krwi włoskiéj lub hiszpańskiéj. Rysy jej były ożywione, ale namiętnością która jest szkodliwą, która gwałtownością swoją zabija tych których dręczy, wraz z nieszczęśliwemi którzy się do nich przybliżą. Co chwila zwracała swój zwrok na młodą parę, a kiedy ich miłość objawiała się jakiemi niewinności pieszczotami, spojrzeniem, słowem, wargi jéj bladły i ściskały się,

oczy błyszczały ogniem żywszym i krew występowała na lica, których mocne kolory tworzyły sprzeczność z lekkim rumieńcem młodéj jéj towarzyszki. Każde tajemne słówko co do siebie mówili, sprawiało jéj cierpienia, na każde ich spojrzenie bladła; śledziła z trwogą wszystkie ich poruszenia i myśli.

Pokój w którym byli zebrani, był obszerny, z oknem małém, ozdoby i meble były staroświeckie, ale bogate i wyborowe. Fortepian elegancki wprost okna i mnóstwo nót okazywały dobry byt i ten gust arystokratyczny mało znany w Irlandji.

Dzień schylał się ku wieczorowi gdy ujrzano starca na drodze z Kilkenny. Młoda dziewica o któréj na ostatku mówiliśmy, najpierwéj go spostrzegła, i ten widok uczynił na niéj okropne wrażenie.

Wkrótce także i młodzieniec spostrzegł starca, i wykrzyknął z miną tryumfującą:—to jest Tony, i ma list.

Młoda sąsiadka spojrzała na niego z zarumienieniem, staruszkowie także w tej okoliczności wielki mieli udział. Wszyscy się podnieśli, aby

przyśpieszyć nowinę. Dziewica tylko sama, któréj postępowanie mało widzieliśmy zgodném z innemi, siedziała z głową opartą o ręce, lecz wszyscy byli tak zajęci że nie uważali na nią.

Ale czas abyśmy naszych czytelników bliżéj z osobami téj powieści zapoznali.

II.

LILJA HRABSTWA KILKENNY.

Jesteśmy w O'Brien-House.

Są to szczątki świetności rodziny któréj imie słynęło kiedyś w dziennikach lecz którego przywiązanie nie zachwiane do swojéj wiary politycznéj i religijnéj, od dawna przyczyniło się do jego

upadku nie odejmując jéj bynajmniéj uszanowania i czci tych którzy cenią jeszcze moc pamiątek i dla których godność w nieszczęściu jest nowym tytułem do szacunku.

W poprzedzającym rozdziale wymienione osoby: starzec, jego żona i młoda dziewica z czarnemi oczyma, oto wszystko co pozostało z domu niegdyś tak kwitnącego. Gdy kapitan O'Brien, po kilkoletnim pobycie we Włoszech zaślubił we Florencji Ludwikę Vanini, Bóg zdawał się błogosławić ten związek;do ich szczęścia należało dziesięcioro dzieci,sześciu synów i cztery córki które swoim rodzicom rokowały najświetniéjsze nadzieje; synowie mieli szlachetne przymioty ojca,a córki były żywemi obrazami matki,aniołami na ziemi. Lecz niesłychane przeciwności losu przywaliły tę rodzinę: w ciągu dziewięciu lat wszystko znikło jedno po drugiém,zaledwie wchodząc na świat i nie poznawszy więcéj jak jego złotą powierzchnią. Dziewięć razy trzeba było otworzyć grób; dziewięć razy gdy liść padł z szelestem pod strasznym wichrem jesieni, śmierć zakołatała do ich drzwi i wprowadziła z sobą do tego przybytku żałobę i spustoszenie.

Aczkolwiek czara była bardzo gorszką, ale opatrzność mierzy czasem zmartwienie siłą wytrzymania. Pozostała im jeszcze jedna pociecha, ostatnia ich córka, mała Marja, daleko młodsza jak inne. Zleli na słabą i wątłą dziecinę całe przywiązanie jakie mieli do wszystkich. Dla Marji teraz wszystkie starania, cała miłość, wszystkie pieszczoty, starania przykre, miłość nie raz bolesna, pieszczoty często łzami przerywane. Wielkie bowiem w sercu ojcowskiém jest miejsce dla wspomnień, a w sercu matki kładą one nieśmiertelny zaród smutku, który wiecznie na wierzch wypływa.

Już dziesięć lat upłynęło i oddawna smutek który ta strata zrządziła w rodzinie O'Brien, ustąpił słodkiéj melancholji, łzy wprawdzie rosiły jeszcze niekiedy oczy, ale nie były już tak częste i tak gorszkie.

Zdawało się że Marja odziedziczyła wszystkie przymioty, zmarłego swego rodzeństwa a które były chlubą całéj rodziny. W obawie aby i ta nie była im wydartą, codziennie patrzyli z trwogą na jéj twarz, gdzie żywe kolory róży i lilji łączyły się,—obawiając się co chwila zo-

baczyć znaki poprzedzające przedwczesną śmierć, śledzili w jéj wzroku, na jéj czole, téj posępności melancholicznéj, téj powagi dojrzałéj zbyt wcześnie, które są śladami aż nadto pewnemi podwojnego osłabienia fizycznego i moralnego. Ale Marja od roku przebyła tę nieszczęśliwą epokę, a jéj lica jaśniały zawsze świetnemi kolorami zdrowia i jéj twarz nie była napiętnowaną wyrażeniami dojrzałości chorobliwéj która dziewięć razy wycisnęła łzy z ich oczu. Marja była zawsze młodą dziewczyną wesołą, uśmiechająca się, bez trosków o przyszłość, mieszczącą całe swoje szczęście w uśmiechu ojca i w czułych uściskach matki; lekkomyślne dziécię, podobna do kwiatu którego łodyga powabna ugina się pod kroplami deszczu, za szczęście największe miała oddychać czystém powietrzem wioski, biegać po zielonéj łące i zbierać na niéj kwiaty, pozwalając zefirowi igraz jéj białą suknią, od któréj nazwano ją *lilją hrabstwa Kilkenny*.

Musiemy wprawdzie powiedzieć że od pewnego czasu wesołość jéj znacznie zgasła, oddawała się chwilowo słodkiéj melancholji która jednakże nie była zastraszającą. Jakaż tego była przyczyna? Nie wiemy dokładnie. Może o

becność Oskara de Montbrun wpływała do tego. Jest to ten młodzieniec który siedzi przy niéj.

Ojciec Oskara de Montbrun zmuszony wyjść z kraju podczas pierwszyc h zaburzeń rewolucji, znalazł w Irlandji schronienie i przyjaciela o którym nigdy nie zapomniał. Powróciwszy do Francji 1814 r. prowadził z kapitanem O'brien korespondencję nieustanną. P. Montbrun który podczas swojego wygnania ożenił się był z krewną kapitana O'Brien, miał wyjeżdzając syna siedmio-letniego. W 1831 roku Oskar miał 24 lat i przypomniał sobie zawsze życzliwych przyjaciół w Irlandji. Od dawno naglono na p. Montbrun aby pozwolił jechać synowi na rodzinną ziemię i już prawie od roku przybył Oskar do O'Brien, a o odjeździe nie było słychać.

Obecność młodego człowieka podwoiła przez czas niejaki wesołość Marji, która dotychczas nie szukała rozrywek jak w towarzystwie Alicji Bright, któréj ojciec od lat trzech mieszkał w téj okolicy. Lecz nagle stała się bojaźliwą, i ponurą. Nie wiem, jeszcze raz, czyli Oskar wpływał na ten stan odrętwienia,

ale wiém że należał do rozpędzenia smutku; bo wesołość Marji powrociła po długiéj przechadzce z Oskarem. Za powrotem, spojrzenie jéj było żywsze, słodki uśmiech krasił jéj usta i pobiegła rumienjąc się uściskać swoję matkę.

Nazajutrz Oskar miał rozmowę z kapitanem O'Brien, który przycisnął go do swojego serca i nazwał swoim synem. Tego samego dnia napisał Oskar do swojego oica oświadczając mu że jedna tylko rzecz może go wprzyszłości szczęśliwym uczynić, to jest ręka Marji. Nie długo czekano na odpowiedź, zniechęcony wypadkami politycznemi, p. de Montbrun do tego tylko wzdychał aby zakończyć ostatki dni życia w kraju w którym go miłość i przyjaźń tak szczęśliwym uczyniły. Niektóre interesa miał jeszcze ukończyć, lecz te wkrótce będą załatwione, a pierwszy jego list oznajmi dzirń wyjazdu z Francji. Ślub więc Oskara zaraz po przyjeździe ojca miał się odbyć.

Dla téj więc przyczyny zgromadziła się mała rodzina w salonie O'Brien House, a Oskar z niecierpliwością wyglądał na drogę z Kilkenny skąd stary Tony miał wrócić z listem tyle upragnionym.

III.

LIST. — WYJAZD

List oczekiwany z taką niecierpliwością odebrany z takim tryumfem, otworzony z taką radością Oskar przeczytał nakoniec. Wszystkie oczy były zwrócone na niego, a uśmiech szczęścia spoczywał na ich ustach— Lecz nagle postawa O-

skara staje się smętną, czoło się marszczy, ręka jego zamyka się konwulsyjnie, oczy jego napełniają się łzami, głowa się nachyla i jest przymuszony oprzéć się o drwi które pośpieszył otworzyć; nie śmie oczu podnieść na Marję. Gromadzą się około niego, nie śmieją mówić, ale przestrach maluje się na wszystkich twarzach; czekają. Oskar wymawia z rozpaczą imie Marji i swego ojca, podaje list kapitanowi i zostaje w osłupieniu.

List zawierał co następuje:

Mój kochany Oskarze! wy wszyscy moi dobrzy przyjaciele! nie jest boską wolą abym był obecny przy waszém szczęściu. Rozkazuje on mi połączyć się z aniołem który mnie poprzedził do nieba. Spiesz się mój synu, jeżeli chcesz zamknąć oczy twojego ojca.

Byłoby rzeczą niepodobną opisać uczucia ja kie przepełniały serce mieszkańcó w O'Brien-Hou se z przyczyny tego pisma.—To szczęście które się zdawało przed chwilą tak bliskiém, zostało w części zniszczoném, bo nie mogło być błogosławioném przez obecność p. de Montbrun. Oskar ma odjechać, smutna powinnosć do wypełnienia;

ale ta powinność jest konieczną i nie może być odłożoną. Wszyscy to zrozumieli, i wszyscy są smutnemi.

Wszyscy,—myli się: Alicja Bright, towarzyszka Marji, jéj przyjaciołka, powiernica, zdawała się wzruszoną na tę wiadomość, ale w tém wzruszeniu nie widać żadnego smutku; twarz jéj wyjaśniona mimo głosu żałosnego który przybrała przy żegnaniu się z Marją , mimo pieszczoty pocieszające które jéj oddaje, widać rodzaj tryumfu w jéj spojrzeniu i ruchu.

Mała rodzina została samą, Oskar czyni przygotowanie do podróży, bo dzień jutrzejszy nie powinien go już zastać w Irlandji.

Przygotowania te odbywają się w największém milczeniu i smutku a nadchodząca burza która się na zasępioném niebie objawiała, czyniła je jeszcze smutniéjszemi. Zdawało się, że natura chciała się połączyć z czarnemi myślami które dręczą mieszkańców O'Brien--House. Niebo przed chwilą spokojne i uśmiechające się, okrywa się nagle czarną oponą; gęste chmury gromadzą się na widnokręgu, deszcz pada ulewny, wiatr dmie i miota z wściekłością bał-

wany kanału Śgo Grzegorza, w małą zatokę Wexford.

Jednakże Oskar musi odjechać, opóźnienie kilku minut mogłoby 24 godzin zatrzymać go w Kilkenny. — Odjeżdża, starając się ukryć swój smutek, chciałby być spokojnym, ale jego usiłowania są próżne, nikt nie szuka w oczach jego pociechy, serca są przepełnione. — Odjeżdża w towarzystwie starego Tony, który co chwila ociera łzy swoje, bo wszyscy którzy znają Oskara, muszą go kochać, a stary Tony który tak jest przywiązanydo swojéj,młodéj pani zlewa część tego przywiązania na ulubieńca którego jéj serce wybrało. Odjechali, a łzy nie przestały płynąć. Noc nie przynosi spoczynku dla nikogo, próżna obawa i trwoga dręczy mieszkańców O'Brien-House. Jeżeli znużenie i łzy przyczyniają się czasem do snu Marji, wnet ją budzą okropne widma Oskar jest przedmiotem każdego snu. Z czołem bladém, okryty żałobą, oddzielony od Marji przepaścią nieprzebytą, patrzy na nią zdaleka. Po takichto smętnych myślach następował dzień tak upragniony, a który przecie nie przynosił więcéj ulgi od nocy.

IV.

Przyjaciołka.

Jednakże nagły wyjazd Oskara wycisnął łzy nie tylko z oczu Marji. Jéj towarzyszka, którąśmy widzieli przy niéj w tym okropnym wieczorze, nie mogła widzieć Oskara bez czułości. Świetne przymioty i piękne rysy młodego Francuza, za nadto zajęły jéj serce.

Alicja była pod wpływem pomysłów przechodzących koło spokojne w którém żyli mieszkańcy O'Brien-House: była wstanie zapału który oddaje duszę najmniejszym złudzeniom. Starsza jak Marja, zbadała prędzéj tajemnicę zamkniętą w sercu młodéj dziewicy; widziała wzrastającą jéj miłość, tak jak swoję, ale trzeba było milczéć, bo spotrzegła że serce Oskara wcale jéj nie rozumiało. Również dręczona miłością, szukała w oczach Marji ulgi w swoich cierpieniach. Oskar uważał Alicję jak siostrę, czasem nawet obejście się jego z nią tak było tkliwe, że możnaby je było wziąść za miłość, ale ona się nie łudziła. Często nawet spostrzegała że obecność jéj była zbyteczną i że młoda para radaby być samą. Zdawało się jéj że miłość Oskara do Marji była kradzieżą którą jéj wyrządzano, kochała młodego Francuza całą siłą swojéj duszy, oddałaby była wszystko, ojca, majątek, życie..... Ale chciała w zamian miłości Oskara, serca ktoreby odpowiedziało jej sercu spojrzenia któreby szukało jéj spojrzenia.—Nic z tego: Oskar ją nie kochał, była dla niego zupełnie obcą. To jeszcze nic, nie być koc haną, nieszczęście to byłaby zniosła.....

Ale Oskar kochał inną! kochał Marją!

Marja nie kochała mniéj jak Alicja, ale kochała odmiennie. Miłość tych dziewic tak była różną jak ich wychowanie i ich charakter, Marja miała we wszystkich swoich uczuciach ten wyraz słodyczy i tkliwéj prostoty, ten zarys wesołości płochéj i tę czystość dziewiczą, które zyskały jéj przydomek *Lilja hrabstwa Kilkenny*. Alicja przeciwnie miała krew włoską w swoich żyłach. Córka Neapolitanki, miała żądze exaltowane i serce ogniste dziewic włoskich. Żywa w swoich czynnościach, prędka w wysłowieniu, szybka w postanowieniu, nie zdolna kochać albo nienawidziéć z umiarkowaniem, napoiła swoję miłość ognistą energją swojego charakteru. Była pogardzoną! Oskar nie miał na nią względu! Gdy siedziała obok dwojga kochanków, ich czułe spojrzenia uderzały ją sztyletem bandyty, który zabija swojego nieprzyjaciela w ciemności, a ich miła rozmowa napajała jéj żyły gwałtowną trucizną.

Alicja i Marja były to dwie istoty zupełnie sobie przeciwne i które nigdy zéjść się nie powinny były. Nie mogły się zetknąć, nie rozbiwszy

się, ich złączenie powinno bydź ich nieszczęściem.

Alicja mało ceniła przymioty które Marja uwielbiała. — Marja kochała Alicję bo potrzebowała kochać. Uważała ją za swoję przyjaciółkę, i gdy inna miłość opanowała jéj serce, nie porzuciła zupełnie swojéj towarzyszki, zachowała dla niéj miéjsce w swojém sercu i uczyniła ją swoją powiernicą. Zdawało się że ją nawet więcéj kocha, bo była szczęśliwą, a szczęście to ma wspólnego z nieszczęściem, że w duszy cnotliwéj nadaje więcéj rozciągłości uczuciom tkliwym.

Lecz Alicja nie kochała już Marji, młoda dziewczyna była w jéj oczach narzędziem którego los użył dla jéj nieszczęścia, przeszkodą do spełnienia najtkliwszych jéj życzeń. Nie przestawała jednakże ją widywać bo rozłączyć się z Marją, było usunąć się z przytomności Oskara, a potrzebowała się napawać widokiem tego który napełniał jéj serce. Podwójna gorączka trawiła i umysł i ciało jéj, a czasem paroxyzmy te przybierały wyraz słabości melanholicznéj która ją czyniła bardziéj zajmującą.

Następna noc po odjeździe Oskara, przyczyniła się także do smutku Alicji, sen jéj równie był niespokojny; ale jéj smutek i sny nie były bez nadziei.

Rano, już była spokojniéjszą.

Udawała się codziennie do Marji i przepędzała przy niéj cały swój czas. Marja lubiła ją widzićć, oczekiwała jéj przybycia z niecierpliwością, aby rozmawiać o Oskarze. Alicja starała się pocieszać z nieobecności Oskara ale w tém pocieszeniu ją było cóś wymuszonego cóś gorszkiego, i nie jedno „ale" mięszało się w rozmowie o stałości, wierności i powrocie Oskara.

Marja nie odpowiadała na to; była pewną swojego kochanka. Ale dnie po dniach upływały, bez żadnéj o nim wiadomości.

Nie znacznie powątpiewanie opanowało jéj duszę, powątpiewanie którego nie śmiała sobie tłómaczyć.

Już trzy miesiące upłynęły, a Oskar jeszcze nie odpisał na liczne listy które odebrać powinien był z O'Brien-House:

Okropna trwoga panowała w całym domu.

Przepomniałem powiedzićć, że stary Tony zaraz po odjeździe Oskara zasłabł niebezpiecznie, kapitan byłby w wielkim kłopocie gdyby Alicja nie podjęła się była kazać odnosić i przynosić listy z Kilkenny.

V.

ROZPACZ

— Oh! dla czego jestem słabą kobietą? dla czego nie mogę przebydź morza i wynaleść mego Oskara.

— Tak Marjo, i znalazłabyś go przy innéj, powtarzającego przysięgi, które tobie tylekrotnie wynużał.

— Alicjo! Alicjo! nie mów tego! Oskar mnie nie opuścił! nie! nie! on zawsze o mnie pamięta.

— Jakto, Marjo! cztero-miesięczne milczenie nie wyprowadziło cię jeszcze z złudzenia. Biédne dziéwczę, czy ty myślisz że rozumiesz co to jest miłość mężczyzn? Ani młodość, ani piękność nie mają u nich względu. Nasza władza bardzo krótko trwa, jesteśmy dla nich tylko jak słabe cacko, które rzucają za dni kilka! Cnota tchnąca prostotą, piękność najbardziéj zajmująca, wydają im się wkrótce blademi i czczemi.

— O! nie Alicjo! miłość jest to związek tajemniczy, który przywłaszcza sobie całe życie, ciało i duszę, jest to węzeł nierozerwany który łączy w jedno przeznaczenie dwa przeznaczenia przyrodne. O ja jestem pewną że on mnie kocha i będziemy szczęśliwemi, bo miłośc jest szczęście n, życiem dwóch ciał, myślą dwóch serc. Przerywa jednostajność naszego życia i ozdabia jego powierzchnią bladą, piękną barwą boskiego światła.

— Jakżebym chciała myśléć jak ty.

— O Alicjo! ja cierpię! nie mów mi tego; wszak

ty tak nie myślisz, nieprawdaż, proszę cię, powiedz mi że ty tak nie myślisz.

I młoda dziewica wymawiając te słowa, składała ręce i patrzała na Alicją z wyrazem rozdzierającym.

— Nieprawdaż, on mi zawsze jest wierny? on może słaby, może większego nieszczęścia powinnam się obawiać! lecz zapomnieć! O! nie, tak uroczyście mi przyrzekł. A ja, nic od nieod niego nie żądałam i byłam kontenta, szczęśliwa że kocham. — Mówił mi że życie nasze będzie uśmiechającą się doliną, którą, przejdziemy trzymając się za ręce. A jego nie masz, a ja jestem sama, tak, sama! Ah! co ja cierpię...

Alicja nic nie odpowiedziała; ale czasem wzdrygała się, czoło jéj okrywało się potem, bladła tak jakby ją zgryzota pożerała. I przez cały czas przez który zostawała u Marji, oczy jéj były zwrócone na drogę z Kilkenny, tak jakby się obawiała czyjego przybycia, a jeżeli przypadkiem oko jéj ujrzało zdaleka niewyraźny jakiś przedmiot, twarz jéj przybierała

wyraz trwogi okropnéj, która wtenczas dopiero ustępowała z jéj twarzy, gdy przedmiot ten wyraźniéj rozpoznać można było.

Częstokroć namawiała Marją aby ukarała Oskara za mniemaną niestałość, biorąc za małżonka młodego szlachcica z sąsiedztwa, który nie dawno żądał jéj ręki i łudził się wciąż nadzieją otrzymania jéj.

Na podobne propozycje nie odpowiadała Marja, jak łzami; ale można było czytać w jéj oczach, że nigdy na to nie przystanie.

W takich to nadziejach zwodniczych czas upływał. Każdy dzień rodził nowe złudzenia, które jutro rozpraszało; jednakże serce Marji wynajdywało nowe przyczyny usprawiedliwiające Oskara, a miłość w tych trudnych razach dodawała jéj siły. Biédne dziéwczę! Nie marzyłaś nigdy innego widnokręgu jak niebo Irlandji, nie znalaś innego celu swojego szczęścia jak uściśnienie matki, dziś każdy dzień jest dla ciebie nowym źródłem łez i cierpień. Kapitan O,Brien byłby pojechał do Francji, ale cierpiał pedogrę.

Cała rodzina przepędzała dnie smutno, w niespokojném oczekiwaniu i ponurém milczeniu.

Rzadko nawet kapitan chciał słuchać nowiny z dziennika francuzkiego który Marja czytywać musiała. Lecz z jaką trudnością przychodziło jéj się z tego obowiązku wywiązać, bo wszystko co im Francją przypominało, za nadto wielkie wrażenie czyniło na ich umysłach.

Jednakże pewnego dnia gdy myśli jego były smutniéjsze jak zazwyczaj i to wpływ wywierało na całą rodzinę, chcąc sprobować, dać inny obrot myślom nie swoim, ale innych, kapitan prosił Marją aby przeczytała ostatni numer dziennika.

Z westchnieniem była posłuszną swojemu ojcu, i zaczęła czytanie, do którego nikt żadnego interesu nie przywiązywał. Marja sama ledwie rozumiała co czytała. Ale nagle zadrżała, podniosła się z poruszeniem konwulsyjném, wydała krzyk okropny i padła jak długa na podłogę. Matka pobiegła do córki; Ojciec podniósł dziennik i jego oczy zwróciły się ze drżeniem na te dwa wiersze:

„ Wczoraj król podpisał akt małżeńswa pana Montbrun z panną de Bevis.

. . . .

Słysząc te wyrazy wymówione głosem prawie nie zrozumiałym, Alicja upadła obok Marji.

VI.

POWRÓZ.

Wysoki mężczyzna w żałobie przybył do Kilkenny. Nie zatrzymał się dłużéj jak na przemianę konia, którego nawet nie obejrzał, a otuliwszy się płaszczem, udał się szybko drogą do O'Brien-House. Czytać można było w jego rysach często miotanych poruszeniem konwulsyj-

ném, wyraz niewypowiedzianéj trwogi; zdawało się że dąży za okropną pewnością, którąby chciał jak najprędzéj osiągnąć, ale nędzny koń którego mu dali, wycieńczony utrudzeniem i wiekiem nie zdolnym był niecierpliwości jego odpowiedzieć.

Wiosna nadchodziła; ale zima nic jeszcze ze swéj ostrości nie utraciła. Ledwo było przy końcu Marca, niebo było pochmurne i mgliste a zakręty drogi przedstawiały się w nieładzie pośród wyziewów których blade promienie słońca jeszcze przebić nie mogły. Dokuczające zimno czekało naszego podróżnego w polu, przymuszonym był biedz przeciw północnemu wiatrowi a w kilka chwil płaszcz jego był okryty szronem białym, ale on nie zdawał się na to uważać.

W istocie młody Oskar Montbrun był bardzo zmieniony; on którego widzieliśmy tak świeżym, tak rumianym, którego czoło było tak otwarte którego oczy błyszczały nadzieją! On który tyle razy przebiegał tę samą drogę z sercem radosném, uśmiechając się do myśli miłosnych, za każdym krokiem który go zbliżał do Marji. Twarz jego była smutną, oko jego błędne i poważne; widać w nim zawsze siłę młodości, ale nie ma już

jéj swieżości, i już smutek wyrył głębokie zmarszczki na jego czole.

Wiele cierpiał w ciągu tych sześciu miesięcy! jego ojciec przez cały ten czas stał nad brzegiem grobu, jak gdyby śmierć nie mogła rozstrzygnąć czy ma go porwać. Sześć miesiecy konania, sześć miesięcy okropnych cierpień, których nic nie słodziło prócz obecności, syna bo Oskar nie odstąpił od niego ani na chwilę. Przez cały ten czas podwojna boleść rozdzierała serce nieszczęśliwego młodzieńca, a musiał ukrywać swoją niespokojnóść, aby mniéj przykremi uczynić ostatnie chwile swojego ojca.

Nakoniec pan Montbrun przestał cierpić Oskar jest wolnym i ze smutkiem oddala się z miejsc które mieszczą zwłoki tego którego zawsze kochał i szanował, i idzie szukać innéj boleści.

Dzień szybko zapadał, dolina napełniała się cieniami, a wiatr który ciągle wiał silnie, rzucał daleko liście zwiędłe, które pozostały jeszcze na gałęziach kilku drzew.

Koń Oskara zatrzymał się w niewielkiéj odległości od wioski, i nie chciał ani ruszyć daléj. Znajdował się w téj chwili obok zagrodzo-

nego pola, które parafja poświęciła na grzebanie zmarłych, tego spokojnego ostatniego ustronia, gdzie nikną wszelkie nienawiści, gdzie giną wszelkie nierówności społeczne, gdzie uspokajają się wszelkie boleści, gdzie bogaty spi obok ubogiego, gdzie starzec schylony laty spoczywa obok młodego dziecięcia, które śmierć wyrwała cierpieniom życia. Oskar w którym widok grobów nigdy nie obudził smutnych myśli, wzdycha! pomyślał o ojcu, którego zostawił daleko, o matce która tu spoczywa.

Wchodzi, unikając z pełną uszanowania uwagą, żeby nie deptać po niskich grobach w których spoczywa nędza i niedostatek, a kieruje swe kroki ku skromnemu ustroniu gdzie spoczywa jego matka. Idąc postrzega tu i owdzie swieże mogiły, potém oczy jego zwracają się na dwa białe kamienie, na których czarnemi literami wyryte są imiona dobrze znane, i bardzo drogie jego sercu. Na jednym przeczytał: Edward O'Brien, na drugim, Ludwika Vanini O'Brien. Zadrżał, a oczy jego mimowolnie szukają trzeciego imienia, stokroć jeszcze droższego. — Nic nie postrzega!

Zapominając o powodzie wejścia w to ogrodzenie, pospiesza wyjść i biegnie do O'Brien-House, Zdaleka poznaje dom który miał być świadkiem jego szczęścia. Ale ten dom zdaje się że już jest niezamieszkały. Pospiesza, przybywa nakoniec; serce jego bije gwałtownie w jego łonie; puka, drżąc. Nikt nie odpowiada.

Oskar przymuszony jest usiąść, bo nogi jego chwieją się pod nim; głowa jego pała, myśli jego mięszają się, traci przytomność umysłu!!!

Wieczorem gdy wrócił do przytomności, gorączka ominęła go, ma się lepiéj. Znajduje się złożonym na biedném posłaniu, pośród ubogiej rodziny, która płacze w około niego, bo nie zapomniała młodego Francuza który często towarzyszył Marji w jéj dobroczynnych wycieczkach.

Nakoniec ma tyle siły że może posłuchać niektórych objaśnień, ale nie może ich rozumiéć.

Nie długo po jego wyjeździe uważano w O'Brien-House wielki smutek, który się z każdym dniem powiększał.

Przed dwoma miesiącami wielkie wzburzenie zakłóciło ten dom. Kapitan O'Brien umarł nagle, uderzony apoplexją. Żona jego tego samego dnia zasłabła, córka przepędzała przy niéj dzień i noc, ale wszelka pomoc była daremną. Piętnascie dni wystarczyły na złożenie jej w grobie, połączyła się z swoim małżonkiem, a Marja została sierotą.

Młoda dziewica którą te smutne ciosy przygniotły, pojechała przed sześciu tygodniami, zabrana przez podeszłą krewną która mieszka w Anglji w Taunton, hrabstwie Sommerseth-Bath.

Co do Alicji Bright, od któréj Oskar spodziewał się otrzymać bliższych i obszernych objaśnień, miała wielki udział w nieszczęściach tego domu, ale od kilku dni ojciec jéj opuscił Irlandję, oświadczając zamiar nie wrócenia w te miejsca nigdy, i pojechał do Paryża z swoją córką która zdawało się że znienawidziła kraj w którym się odbyły tak smutne wypadki.

V.

W ALTANCE.

We dwa dni późniéj Oskar był w Taunton, w swojéj niecierpliwości, nie zatrzymując się przebył przestrzeń która go oddzielała od Marji. Jego spojrzenie było żywsze, oblicze mniéj pomięszane. Dowiedział się niewątpliwie o bar-

dzo smutném nieszczęściu: Ale Marja żyła, Marja była wolną. Przybywał aby otrzéć jéj łzy, aby płakać z nią razem, bo on kochał także rodziców biednéj sieroty, a świeża śmierć ojca pozwalała mu pojąć całą boleść jaką ta strata przejąć musiała serce biednéj Marji.

A jednak było wiele rzeczy których sobie nie mógł wytłómaczyć, — ale za kilka chwil dowie się o wszystkiém.

Nie śmie przedstawić się nagle: zaczyna pisać i rozdziera po dwadzieścia razy, list którym donosi o swojém przybyciu. Nakoniec napisał dwa wiersze bez związku prawie, donosząc Mistress Booby, że młody hrabia Montbrun przybyły przed chwilą, prosi o pozwolenie złożenia swego uszanowania.

Sam idzie za swoim posłańcem, aby jak najprędzéj otrzymać odpowiedź. Długo czeka, nakoniec otrzymuje bilecik w którym czyta: Mistress Booby prosi hrabiego Montbrun aby sobie nie czynił przykrości. Cieszy się że list jego nie wpadł w ręcę jéj młodéj kuzynki, na któréj zdrowie mógłby szkodliwy wpływ wywrzéć; mistres Booby prosi zarazem hrabiego Mont-

brun aby nie usiłował wejść do jéj domu gdyż zabiegi jego byłyby daremnemi.

Nie będziemy starali się malować zadziwienia Oskara. Ale to go nie mięsza; pojął odrazu że to postępowanie ukrywa tajemnicę którą powinien zgłębić, cokolwiek mogłoby go to kosztować. Pobiegł do drzwi mistress Booby, i zapukał. Wpół otwarta, furtka pozwoliła mu ujrzéć starego ogrodnika, który smutnie potrząsnął głową i rzekł: Mistress Booby nie przyjmuje nikogo.

Nieszczęśliwy młodzieniec stracił więcéj niż dwie godziny przechadzając się w okolicy, nie wiedząc co ma czynić, kroki jego ciągle prowadzą go ku mieszkaniu Marji. Swieżo wystawiony ten dom był zupełnie odosobnionym, nie stykał się z żadną inną budowlą. Oskar obchodzi go kilkakrotnie i dobrze ogląda go. Domek ten nie zbyt obszerny wychodzi z jednéj strony na dość duży ogród, którego drzewa wznoszą się znacznie nad otaczające mury. Postrzegł także że ogród ma w tyle wejście. Zbliżył się machinalnie, popycha małe drzwi które się otwierają.

Oskar wchodzi bez wachania. Było to już wieczorem! lekka ciemność sprzyja jego zamiarowi. Wysypana piaskiem alea prowadzi młodzieńca do altanki, którą jeszcze nie pokryły liście.

O szczęście, ktoś jest w altanie! to Marja! blada od łez i bezsenności,zaledwie zdoła utrzymać się, długie jéj włosy rozpuszczone pływają na pięknych ramionach, twarz jéj zachowała wszystkie wdzięki, chociaż boleść wyryła na niéj widoczne ślady, bo miłość owiała serce młodéj dziewicy jak wiatr południowy, aby je wysuszyć. A jednak w zbytku nawet swoich cierpień znalazła ona siłę do ich zniesienia.

Oskar bieży do altanki, i pada u nóg Marji. Marja podnosi oczy i poznaje go; chce wyciągnąć drżące ręce aby go odsunąć, ale nie ma dość siły, jéj usta poruszają się nieco ale nie wydają głosu. Nakoniec jéj wzruszenie zdaje się nieco uspakajać, kładzie rękę na sercu jakby czuła okropną boleść.

— Uciekaj! uciekaj! rzecze, zostaw mię! czyż nie wiersz że pomiędzy mną i tobą są dwie mogiły?

— Marjo, droga Marjo; uspokój się! nie mogę oddalić się, póki mi nie wytłómaczysz tego szczególnego postępowania.

— Mój Boże! zabił mojego ojca i moją matkę! rozdarł moje serce i jeszcze żąda wytłómaczenia moich postępków.

— Marjo, nie mogę zrozumiéć co czyni mię w twoich oczach przyczyną tego nieszczęścia.

— Jako, panie, a twoje milczenie...

— Moje milczenie, Marjo! wszakże dzień jeden nie przeminął w mojém oddaleniu, żebym do ciebie nie pisał, co dzień oczekiwałem odpowiedzi, i zawsze moje nadzjeie były zawodzone.

— Byłożby to prawdą? Alež moj ojciec pisał także do ciebie bardzo często, a nigdy ani jeden twój wyraz nie zaspokoił naszych niespokojności.

— Marjo! cóż mi donosisz? Boże, jakaż istota mogła być tak okrutną, aby w ten sposób igraszkę sobie czynić z naszego szczęścia... Oh teraz pojmuję, musiałaś mię nienawidziéć, złorzeczyć mi.

— Oh, nie! ale cierpiałam bardzo:

— I ja także, Marjo, cierpiałem bardzo bo nie przestałem cię kochać.

— Powtórz to jeszcze, Oskar, powtórz, że kochasz mię jeszcze!

— Droga Marjo!

I chciał przycisnąć ją do serca.

Ale ona odepchnęła go wstając. Przebacz mi, przebacz Boże! on mię jeszcze zwodzi. — A toż co znaczy, rzekła daléj, dumnie wznosząc głowę i dobyła z za sukni zgnieciony papier. Był to ten fatalny dziennik.

Oskar zrozumiał: — Boże! zawołał, to doniesienie o ślubie mego kuzyna.

Marja podniosła ku niebu pełne wdzięczności oczy; energja jaką dotychczas zdołała utrzymać opuściła ją nagle i zemdlona padła w objęcia kochanka.

. . . .

Nazajutrz, Oskar siedział z mistress Booby przy łóżku Marji. Wszystko się wyjaśniło, podeszła mistress płakała, i łzy jéj były bez nadziei; nie było już szczęśliwych dni dla Marji. Ta którą nieszczęście nie zdołało złamać, uległa zbytkowi szczęścia którego nie mogła przewi-

dzióć. Jest bardzo cierpiącą, ale w jéj oczach widać słodką radość. Wstrząśnienie było zbyt silne; wątłe ciało dziewicy już silnie zachwiane tém wszystkiém co musiała cierpiéć, otrzymało cios ostatni. Żegnajcie sny szczęścia i miłości, znikłe jak krople rosy błyszczące w wilgotnych perłach na ostatnich listkach lata. Marja O'-Brien spoczywa na śmiertelném łożu! Piękna lilja hrabstwa Kilkenny uderzona burzą nie zdoła oprzéć się jéj gwałtowności!

Oskar nie łudzi się, nie uwodzi płonną nadzieją, z całą goryczą bolejącéj duszy, uważa postęp śmierci, na téj dziewicy niegdyś tak świeżéj i jaśniejącéj życiem; ubolewa nad tą zniszczoną istnością, która już nie ma połączyć się z jego bytem, ale jego fizjonomia nie objawia żadnego wzruszenia duszy, nauczyła się cierpiéć w milczeniu; smutek jego jest spokojny tak jak boleść Marji. Okropna to scena, ale bez krzyku, bez powierzchownych oznak rozpaczy.

Ale Marja zrozumiała myśl Oskara; odgadła łzę źle ukrytą pod jego wilgotną powieką i łza zabłysła także w jéj czarnych oczach, które już ożywiały się tym blaskiem nadludzkim, który poprzedza przejście do lepszego życia, a smutna

myśl przelotnie zachmurzyła jéj czyste czoło. Potém odrazu twarz jéj złamana bolem, odzyskuje zwykłą pogodę i wznosząc oczy ku niebu które jéj zesłało myśl pociechy, ściska zlekka rękę Oskara, i wymawia jego imie uśmiechając się, bo pomyślała, że kiedyś połączą się znowu.

Nazajutrz, kiedy pierwszy promień słońca przeniknął do małego pokoiku gdzie się odbywała ta smutna scena, Marja zwróciła na swego przyjaciela oczy napełnione nieopisaną słodyczą, potém one zamknęły się powoli, rysy jéj przybrały ten wyraz najżywszeej spokojności który nie należy do ziemi, ręka jéj puściła dłoń Oskara i upadła bezwładnie. Wszystko się skończyło.

Młoda dziewica spoczywa na cmentarzu w Taunton; bez ozdób, bez kamienia na którymby można czytać imie Marji O'Brien. Nic, prócz małego wzgórza darni, otoczonego grzędą bukszpanu; a we środku lilja swietnéj białości: skromna i wzruszająca pamiątka poświęcona téj, która jak kwiat błyszczała między swemi towarzyszkami i jak kwiat jeden dzień tylko trwała.

VIII.

TRZY LATA PÓŹNIEJ.

Był to świetny dzień dla teatru opery w Paryżu. P. Taglioni występowała, okrywano Sylfidę kwiatami i oklaskami, wieczór ten był dla niéj prawdziwym tryumfem.

Nigdzie entuzjazm nie był tak wielki jak w jednéj pobocznéj loży, gdzie znajdowały się czte-

ry osoby nie należące jak się zdawało do jednego towarzystwa, na przodzie siedział starzec z twarzą pełną wyrazu, obok niego młoda dama. która zdawała się nie tyle być zajętą tém co się działo na scenie, ile szukaniem pomiędzy widzami kogoś, którego spodziewała się zobaczyć. Jéj twarz była nacechowana słabością, była piękną, ale cierpiącą.

Dwaj młodzi ludzie siedzący za niemi, rozmawiali pół głosem.

— Jakto, niewiedziałeś o tém? rzekł nagle jeden znich podnosząc głos.

— Ani słowa; ale szczerze winszuję Henrykowi: to jest piękne dziedzictwo.

— Tém bardziéj że zmarły kuzyn prowadził życie bardzo korzystne dla dziedzica: istotnie, stał się dziwakiem od śmierci swego ojca.

— Mówiono mi że jego smutek pochodził z zawiedzionéj miłości... Zakochał się szalenie w jakiejś małéj wieśniaczce Irlandzkiéj.

— Zakochać się w wieśniaczce, to jeszcze mniéjsza, jeśli ona jest piękną, ale umrzéć z miłości, będąc tak młodym i bogatym jak Oskar Montbrun...

Na to imie młoda dama która siedziała przed niemi, wydała krzyk przenikliwy; pod-

niosła się i spojrzała na rozmawiających obłąkaném okiem. Przelękniony ojciec chciał ją wyprowadzić, ale słaby starzec nie miał dość siły.

Ona patrzyła ciągle na dwóch młodzieńców; potém podnosząc głowę z spojrzeniem dzikiego tryumfu i odrzucając w tył pukle włosów, rzekła głosem pełnym słodyczy i harmonji:

Ah! ah; szukałam go daremnie. On umarł! to dobrze... Marja także umarła! Ja ich zabiłam!.., Zostawili mię samą... Zatrzymała się przez chwilę, potem podnosząc rękę do czoła które pałało, dodała. Ah! jak mi zimno!

W téj chwili pozwoliła poprowadzić się bez oporu.

Alicja Bright została natychmiast otoczoną przez lekarzy, niesiono jéj najwyszukańsze środki pomocy, i te nie były zupełnie bezskutecznemi. Uspokoiła się, ale nie zdołano przywrócić jéj rozsądku.

Lekarze oświadczyli że tylko we Włoszech może znaleść zupełne wyzdrowienie.

Wpośród licznych papierów które starzec przeglądał przed wyjazdem, znalazł wielką pakę

listów, największa część miała podpis Oskara, dwa tylko podpisane były: Marja, a reszta: Edward O'Brien.

W téj chwili zrozumiał wiele rzeczy których dotychczas nie mógł odgadnąć.

Lekarze nie zwiedli nieszczęśliwego ojca. Alicja znalazła we Włoszech lekarstwo na wszystkie swoje cierpienia: umarła przybywając do Medjolanu, a ostatnie słowa które jéj usta wymówiły były imiona Oskara i Marji. —

DO A.

SONET.

Kiedy w wesołém twych przyjaciół gronie,
Spełniając chętnie powszechne żądanie,
Z gitarą wręku, lub przy fortepianie,
Kołyszesz duszę na harmonji łonie,

Gubi się oko patrząc na twe dłonie,
Z jaką szybkością w coraz nowéj zmianie,
W setnych przebiegach, nagle, niespodzianie,
Z wdziękiem, słodyczą lejesz ton po tonie.

Ledwie się ozwiesz, w koło cichość głucha
Miéjsce rozmowy zajmuje milczenie
Zda się że niema ściana chciwie słucha.
Westchnienie nawet w piersiach się wstrzymuje,
I każdy prawie nie widzi, nie czuje,
Jakgdyby duszę zgromadził do ucha.

DO * * *

SONET.

Pomnisz luba tę chwilę, gdy w wesołém gronie,
Za piosnkę, com ją uucił na twoje rozkazy,
Za natchnione twojemi wdziękami wyrazy,
Kielich nektaru twoje podały mi dłonie?

Twoje spojrzenie mojéj dźwięk nadało stronie,
Podało myśli, złote usnuło obrazy,
I ogień, jak twa dusza czysty i bez skazy,
Twoje spojrzenie w mojém zapaliło łonie,

Raz tylko twoje oczy z memi się spotkały,
W tém zwierciedle anielską duszę twą ujrzałem,
I od téj chwili tobie byt mój już oddałem.

Dusze nasze nad zakres ziemi uleciały,
Tyś nic nie powiedziała, ja także milczałem
Jednak się serca nasze wzajem zrozumiały.

SPIS RZECZY

W TOMIE V ZAWARTYCH.
